Nr. 23. Warszawa, dnia 6 Czerwca (25 Maja) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Cła zbożowe. — Listy społeczno-polityczne o Francyi, X, p. L. W. — Z Austryi, p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Nowy Abraham, p. W. Dal. (ciąg dalszy). — *Sprawy ekonomiczne*: Rozwój spółek akcyjnych, p. K. R. Żywickiego. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska. L. Belmont, W wieku nerwowym, p. F. B. — Muzyka. Eliasz, oratoryum Mendelsohna. — *Życie społeczne*. Z Poznańskiego, p. t. z. — Pamiętnik. — Zdala, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

CŁA ZBOŻOWE.

Od czasu jak pismo nasze istnieje, zwracamy ciągle uwagę czytelników na ten fakt, że z wyjątkiem tych okolic Europy, gdzie sprawy narodowościowe zajęły plan pierwszy, wszędzie zresztą polityczne ustępują miejsca ekonomicznym. Znane i bardzo trafne spostrzeżenie Schillera, że światem rządzą miłość i głód — sprawdza się dziś bardziej, niż kiedykolwiek. Sam ten wielki prąd, który przeniknął całą sferę cywilizacyi i stanowi dziś oś jej obrotu, miał i ma swoje źródło w walce o byt materyalny. Troski, zabiegi, namiętności i rozumy, zwrócone w tym kierunku, nadają naszej epoce jej szczególny koloryt, a zarazem ją zapładniają nasionami nowych pierwiastków, które przyszłość może tylko rozwinąć.

Ze szczególną siłą i wyrazistością ta przewaga interesów i zatargów ekonomicznych występuje w Niemczech. Ma ona bowiem tam podłoże wielkiej kultury, nie paraliżują jej ani kwestye narodowościowe dość uporządkowane, ani wewnętrzno-polityczne, wolne od wrzeń niebezpiecznych. Wysoka oświata, równomiernie rozlana po całym narodzie, jego jednolitość, słabo zmącona dwiema domieszkami — polaków od wschodu i francuzów od zachodu, zgoda znacznej większości na obecny ustrój państwowy — wszystko to sprawia, że zagadnienia społeczne szybko dojrzewają i wydobywają się na wierzch.

Zaprowadzone w Niemczech przed kilku laty cła na zboże były rezultatem podwójnej rachuby Bismarka. Z jednej strony chciał on za pomocą nich (i innych środków) zasilić kasę *cesarstwa* i uczynić je bardziej niezależnem pieniężnie od państw związkowych, z drugiej — pragnął dogodzić korzyściami tej klasie społecznej, na której się opierał i do której sam należał. Oba cele zostały osiągnięte. Wielcy producenci ziemscy, ubezpieczeni takim murem od współzawodnictwa ze strony krajów rolnych, istotnie zarobili na tej „ochronie,“ a raczej „protekcyi“ bardzo wiele, a nieposlednia cząstka tego zarobku spadła do kieszeni posiadacza olbrzymich dóbr— Bismarka. Podwyżkę cen zbożowych zapłacili naturalnie spożywcy a między nimi biedna masa narodu. Wprawdzie różnica nie zawsze dosięgała wysokości ceł, gdyż część ich ponieść musieli dostarczyciele ziarna z sąsiedztwa wschodniego, ale zawsze była bardzo dotkliwa, a niekiedy — zwłaszcza w ostatnich tygodniach — gdy skutkiem nieurodzajów rynek nie miał obfitych zapasów, różnica owa wyrównywała zupełnie podatkowi granicznemu. Innemi słowy: konsument niemiecki płacił w ciągu maja akurat tyle drożej za korzec zboża, ile wynosiło cło. Wyczerpanie się rynku doszło do niebywałych objawów. Tak np. — według *Danz. Ztng* — w przeszłym tygodniu przywieziono *morzem* z Petersburga do Gdańska około 1,700 tonn zboża. Fakt to zadziwiający, jeżeli zważymy, że główną gałęzią handlu w tym porcie jest wywóz zboża. Przekonywa on, jak wielki panuje tu zastój, jak dalece puste są magazyny gdańskie, jak wyczerpano zapasy we wschodnich prowincyach pruskich i przyległych polskich. „Po prostu niema ziarna — mówi wspomniana gazeta — a jeżeli młyny nie chcą stanąć, muszą je nabywać skądkolwiek i za wszelką cenę.“

Pomimo całej cierpliwości niemieckiej, musiał z takiego stanu wydobyć się głośny krzyk, żądający zniesienia, umiarkowania lub bodaj chwilowego zawieszenia ceł zbożowych. Wydawało się nader prawdopodobnem, że rząd głosu tego wysłucha, gdyż naprzód chętnie naprawia błędy Bismarka, a powtóre radby pozostać wiernym temu „kursowi,“ jaki cesarz wytknął swoją zapowiedzią dbałości o dobro klas ubogich. Chwilowo nawet z oświadczeń wtajemniczonej prasy i ministrów można było mniemać, że lada dzień nastąpi ulga, która da głodnym masom chleb tańszy. Tymczasem nagle kanclerz Caprivi rozdarł złudzenia i oznajmił w sejmie pruskim, że cła zniżone nie będą. W dziennikach, na giełdzie, śród rzesz ubogich powstał krzyk żalu i oburzenia, gdyż właściwie nikt tej odmowy nie przewidywał. Co ją spowodowało? Trudno przypuścić, ażeby rząd wyraził w niej tylko swój upór i zatwardziałość; musiały na ten jego krok wpłynąć inne, głębsze przyczyny. Wysnuto dwa przypuszczenia: według jednego uląkł się Bismarka, według drugiego — Austryi. Jak wiadomo, były kanclerz wybiera się do sejmu dla uderzenia całą siłą na świeżo zawarty a dotąd niepotwierdzony traktat handlowy Niemiec z Austryą, który jej czyni pewne ustępstwa w dziedzinie ceł zbożowych, a w zamian otrzymuje koncesye w sferze przemysłowych. Bismark jako opozycyonista z zasady, jako obrońca wszystkiego, co dawniej na swym urzędzie zrobił, wreszcie jako zainteresowany producent (a pobudki osobiste działają w nim zawsze najmocniej), w zawieszeniu ceł zyskałby odrazu grunt do agitacyi i następnie do ataku, skoro sejm zostanie zwołany (w lipcu) dla przyjęcia traktatu. Nie chciano więc tytanowi dostarczyć kamieni, któreby miotał w niebo. Inny znowu domysł mniema, że otworzeniem granicy wschodniej dla zboża utrudniono by rządowi austryackiemu przepro-

wadzenie ugody przez Radę państwa. Bądź co bądź, nie ocena położenia, ale jakieś ukryte względy oddziałały w ostatniej chwili i sprowadziły niespodziewaną odmowę. Ponieważ zaś ogół, potrzebujący tańszego chleba, względów tych nie widzi lub nie uznaje, więc zapanowało w Niemczech wrzenie, które rozszerzyło się po za granice tej jednej sprawy. Niezadowoleni sarkają, że rząd nie ma światła przewodniego, że kroczy w ciemności i błąka się po manowcach, że rozdarty jest niezgodą, że nie waży sobie dostatecznie interesu klas niższych itd. Zwłaszcza żywioły opozycyjne, postępowcy, demokraci i socyaliści uderzyli w najgłośniejsze bębny i spotęgowali oburzenie. Najniebezpieczniej wyzyskiwane jest domniemanie obawy przed Bismarkiem. On nie pozwala na zniżkę ceł, on grozi swą pięścią, on idzie z piorunami do sejmu — więc jego stojący u władzy przeciwnicy stchórzyli i nie śmieli zadośćuczynić słusznym żądaniom narodu. Takie szyderstwo nietylko rani, ale odejmuje powagę rządowi, osłabia wiarę w jego zdolności i siły, które dotychczas nie ujawniły się imponująco. Bismark drwi z „partaczów,“ którzy wzięli po nim robotę, ci „partacze“ odpowiadają mu pogardliwem milczeniem, ale wreszcie wytwarzają sytuacyę, która zdaje się usprawiedliwiać jego śmiech lekceważący. Jeżeli nie poskutkowały tysiącami podpisów opatrzone prośby o chleb tańszy, to mogą odezwać się równie masowe prośby o bardziej zdecydowanego kierownika Bismarka. Tron Hohenzollernów może urągać jednym i drugim, ale liczyć się z niemi musi, jeśli chce uniknąć wstrząśnień. Wilhelm II zrobił wiele dobrego i okazał niezłą wolę, ale jednocześnie popełnił jeden, kardynalny błąd: wprowadził chaos, którego dotąd nie uporządkował i którym nikogo nie zadowolił. Ów zamęt wzrósł jeszcze bardziej przez dziwne postępowanie w sprawie ceł zbożowych.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI

X.

Cła. — Demagogia Leona Saya. — Workhouse'y francuskie. — Projekt reform. — W obozie konserwatywnym. — Podróż Carnota. — Gourmont.

Ironia przypadku daje nam często widoki głębokiego komizmu: wygodny mieszczański kapelusz przykrywa frygijską czapkę, a najuleglejszym sługom porządku każe wydobywać tony demagogiczne — rozumie się w obronie zagrożonej kieszeni. Proszę sobie wyobrazić Leona Saya—czyż dźwięk tego imienia nie przypomina wam najbledszych odcieni lewego środka? — zakapturzonego orleanistę, który chlubi się tem, iż jest na „ty“ z baronem Alfonsem Rotschildem, w postaci trybuna, gromiącego bogaczów w obronie praw ludu. „A gdy niezadowolenie ludowe, niezadowolenie zupełnie usprawiedliwione, wybuchnie szeregiem zaburzeń, wy będziecie za nie odpowiedzialni, wy osobiście“ — tak upominał wolnohandlowy Leon Say protekcyonistów z Izby, a głównie Meline'a, sprawozdawcę komisyi celnej, która wygotowała projekt taryfy, mogącej zmniejszyć przynajmniej o czwartą część obecne obroty handlowe Francyi. Projekt ten przedstawiliśmy w jednym z poprzednich listów. Obecnie pokażemy więc tylko ogólne rezultaty, jakie on wywoła, korzystając ze statystyki przedstawionej na trybunie przez innego wolnohandlowca — Raynala. Jeżeli przez Izbę przyjęty zostanie, to taryfa maksymalna wynosić będzie 597 milionów, minimalna—497. Obecnie zaś odnośne rubryki wynoszą 396 mil. i 355. Najmniejsza zwyżka cła jest 22% (od bydła), największa — podnosi obecnie istniejące 84 razy (od drzewa)!

Nie ulega wątpliwości, że handel wiele ucierpi na tej orgii protekcyjnej, może nawet niektóre gałęzie przemysłu, żyjące wywozem, który na pewno odczuje na sobie reakcyę pokrzywdzonych sąsiadów, zupełnie zostaną sparaliżowane — ale w sumie burżuazya z parlamentu bardzo dobrze wie, co czyni, gdy śmiechem odpowiada na proroctwa wolnohandlowej Kassandry. Lud burzyć się będzie? Nie daremnie przecie wydawane są miliony na udoskonalenia broni, na proch bezdymny, a wypadki w Fourmies świetnie dowiodły, że strzelb a Lebla, jeżeli nie jest straszna dla niemców, w zupełności wystarcza do przebicia na wylot piersi; z której jęk się wydziera, lub dla oderwania czaszki, pod którą zagnieździło się niezadowolenie. Ostatecznie burżuazya na protekcyonizmie tylko wygrać może, widząc, iż rynki zagraniczne i kolonialne są już zamknięte lub wyzyskane, zabiera się do skrzętniejszego wyciskania własnych swych mas, zamyka swe bramy dla cudzoziemskiej konkurencyi i dowolnie podnosi ceny produktów. Historya ma często dziwne nawroty: któżby myślał, że w sto lat po wielkiej Rewolucyi trzeba będzie na nowo walczyć z podatkiem na chleb? A jednak tak się dzieje. Burżuazya nie ma nic do zarzucenia socyalizmowi państwowemu, gdy on dąży do ochrony jej własnych interesów. Protekcya celna jest tego rodzaju socyalizmem. A jeżeli nawoływania Leona Saya, w jego ustach, są śmieszne, to nie ulega wątpliwości, iż w gruncie rzeczy są zupełnie słuszne: klasa robotnicza może na cłach tylko stracić. Wprawdzie protekcyoniści francuscy powołują się na Stany Zjednoczone, gdzie robotnicy na polityce tej zyskują, ale przykład taki dla Francyi nie ma żadnego znaczenia. Rzeczpospolita amerykańska posiada dość zboża i mięsa, aby wzrost taryfy celnej nie wywołał skutków zgubnych dla mas, we Francyi zaś cały ten ruch rozpoczyna się od otaksowania żywności. Chłopi, jak zwykle, zaświadczyli i w danym razie odrębność swych interesów od robotniczych. Większość rad generalnych (w departamentach) wypowiedziała się za projektem komisyi celnej, niektóre uważają go nawet za zbyt umiarkowany. Ale sprobujcie wytłomaczyć chłopu, iż traci na ogólnej drożyznie daleko więcej, niż zyskuje na wzroście ceny kilku korcy zboża, które sprzedaje. Odpowie wam: „nie będę nic kupował“ — i będzie miał racyę. Maleńkie wyłomy, uczynione przez bieg czasu w tych odwiecznych ulach, na nowo starannie zalepione zostaną, a państwo ciemnoty i zabobonu kwitnąć będzie po dawnemu. Głuptaski zaś, niczem nie zrażeni, po dawnemu dowodzić będą wspólności interesów klasy robotniczej i chłopstwa. Są rzeczy, któreby nigdy w głowie nam nie powstały, gdybyśmy nie chcieli ich koniecznie dowieść. Do nich należy dziki przesąd o powyższej wspólności interesów. Oczywiście, że nie mówimy o najmitach bezrolnych: ci nie są posiada-

---

3)

NOWY ABRAHAM.

W domu spali już wszyscy, może by się nawet nie obudzili, gdyby nagła zmiana powietrza nie sprowadziła gwałtownego ataku kaszlu do chorej piersi Lejzora. Na odgłos ten kudłata głowa Małki podniosła się z głębi wysokich poduszek i czarne, w wielkich białkach osadzone źrenice zatrzymały się na szkarłatnej z wysiłku twarzy syna.

— Spać idź zaraz! słyszysz, spać w tej chwili! — wykrzyknęła ze zwykłym sobie impetem.

I w tej samej chwili równie gwałtownie zwróciła się do męża. Widok odniesionego napowrót zawiniątka powiedział jej wszystko.

Przyniósł znowu! Zle więc zrobił, znowu poprawiać będzie, znowu nie dostał pieniędzy! Niedołęga, czy on co kiedy potrafił! Głodem tylko umie morzyć ich wszystkich, ją i te dzieci, i tego nieszczęśliwego Lejzorka!

Chaim w milczeniu krzątał się po izbie, szukając natty dla dolania do wygasłej lampy. Zapaliwszy, postawił na stole i zwrócił się do Lejzorka, który w ubraniu, jak przyszedł, usnął się na stołek i dotąd jeszcze uporać się nie mógł z kaszlem. Parę sekund popatrzył na syna badawczo, poczem zaczerpnął wody z kubełka i podał mu ją.

Spieczone usta chłopaka z chciwością przylgnęły do napoju: bez oddechu wysączył go do ostatniej kropli. Skończywszy, podniósł na ojca krwią jeszcze nabiegłe oczy.

Chaim położył rękę na głowie syna i spojrzał mu w twarz, drgającą jeszcze od resztek kaszlu. Krótkie to było spojrzenie, ale głębokie — jak boleść rozbitego serca. W ponurym jego ogniu naprężał się i wołał cały ból ojcowskiego serca, streszczający się w jednym wykrzyku: moje dziecko! Smutne oczy chłopca zdawały się rozumieć to nieme wołanie; zdjął rękę ojca ze swej głowy i do ust ją przycisnął.

— Idź spać — rzekł ojciec.

— A robota?

— Sam ją dokończę.

— Nie skończysz sam; nie chcę, abyś sam kończył...

— Idź, moje dziecko, będziesz kaszlał bardziej jeszcze.

— A pieniądze na jutro?

Na to słowo magiczne twarz Chaima drgnęła, jakby po wszystkich jej mięśniach przebiegł prąd elektryczny. Oderwał wzrok od twarzy syna i bezwiednie przesunął nim po rozłożonych na łóżku, ławie, podłodze i zapiecku innych członkach swej rodziny. Patrzył na nich chwil kilka i ciemna jakaś chmura zstępowała mu na czoło, posępnym cieniem powlekając twarz całą. Tysiące zmarszczek zdaje się wypełzły z ukrycia i drobną siecią rozłożyły się na czole i policzkach, długą i chudą twarz przeciągając niepomiernie. Niezdecydowany stał tak czas jakiś, a półsiwa głowa coraz niżej spuszczała mu się na piersi.

Tak, pieniądz jest magicznem słowem, czegóż żyd nie poświęci dla niego!

Wkrótce obaj, ojciec i syn, siedzieli już na zwykłych swych miejscach. Znowu mdły promyk lampki w krąg swój obejmował dwie pochylone głowy: starca o srebrnych włosach, przykrytych małą czapeczką, a w skroni wijących się w dwa długie pukle, o policzkach mizernych, porysowanych zmarszczkami dokoła ust i tego wyrostka o bladej, przezroczystej niemal twarzy, w której drgała skupiona uwaga i ukrywane cierpienie. Długie jak lejce nitki znowu wyciągały się nad pochylonemi głowami; to jeden, to drugi przeciął ją niekiedy zębami i z pośpiechem brał się do szwu następnego. Lampka kopciła i monotonnie z cicha skwierczała, a z chorej piersi chłopaka wciąż rzęział skrzypiący, krótki, urywany oddech. Chaim szył i nie patrzył na syna. Czyżby nie słyszał tych kaszlnięć i tego oddechu? Czyżby niepokój nie zmusił go spojrzeć na te niknące, straszną bladością pokrywające się, a chwilami ogniem gorączki rozpłomienione rysy chłopaka? Czyżby nie

czami i na cłach nic wygrać nie mogą. Oni i pod każdym innym względem stanowią z robotnikami miejskimi jedną wspólną całość.

Przeciw cłom nowym występowali jeszcze Deschanel, Ch. Roux, Aynard, Lockroy i inni, ale cóż to pomoże: oddzielne ich głosy na pewno nie zdołają przekrzyczeć ogólnego chóru protekcyonistów, którzy tworzą znaczną większość Izby. To tylko przedstawiciele zagrożonych gałęzi przemysłu protestują — rozumie się w imię ludu — ale niema ich wielu: wogóle burżuazya tylko na cłach skorzystać może.

Deputowany M. Faure, który w swych straconych chwilach jest poetą, przedstawił projekt organizacyi wcale niepoetycznych kolonij robotniczych, gdzie ludzie bez zajęcia będą mogli znaleźć pracę, a także przytułków dla inwalidów. Kolonie opierać się mają na tej samej podstawie, co i angielskie *workhouse'y*: odzież i strawę każdy nędzarz musi opłacać kilkunastogodzinną pracą dziennie, w warunkach karności więziennej. Zauważmy nareszcie, że do raju tego nie każdy śmiertelnik się dostanie: administracya czynić będzie śród kandydatów ścisły wybór i tylko najgodniejszym otworzy podwoje. Kolonie mają być głównie rolnicze, praca odbywać się na wolnem powietrzu; jest to jedyna ich zaleta wobec angielskich *workhouse'ów*, a jednak któżby się spodziewał, iż „prawo do pracy," którego lud we Francyi od tylu lat się dobija, przybierze kiedyś tak ohydną formę? Z drugiej strony komisya parlamentarna przygotowywa projekt ubezpieczenia na starość i od wypadków, na mocy którego robotnik, w razie oderwania mu przez maszynę obu nóg, otrzymywać będzie 50 cent. dziennie, jeżeli *nb.* udowodni, iż nie zrobił sobie tego umyślnie. Dodajmy nareszcie, że nowoutworzona „Rada wyższa pracy" opracowała projekt dziesięciogodzinnego dnia, przyczem *nb.* — nieszczęsny ten znaczek psuje zwykle najlepsze chęci burżuazyi — pozostawiono robotnikom prawo dalszego pracowania, jeżeli sami sobie tego życzą. Projekt ten, nawet w razie urzeczywistnienia się, w obecnie istniejących stosunkach żadnej zmiany nie wywoła. Wobec powyższej wiązki projektów trudno nie przyznać, iż zdanie „piekło wybrukowane dobremi chęciami" jest już stanowczo przestarzałe. Piekło obecnie wybrukowane jest samolubstwem, troską o własną tylko kieszeń i cynicznem urąganiem nędzy.

Z powodu zerwania „Unii konserwatywnej" — o czem pisaliśmy w poprzednim liście — prasa bonapartystyczna silnie napada na obecną politykę hr. Paryża. Bocher wycofał się, a ponieważ chciano zastąpić go przez człowieka czynu, stanowczego i energicznego, więc wybrany został... akademik, hr. d'Haussonville. On to pracuje teraz koło Restauracyi — wczoraj jeszcze pracował koło „Dictionnaire'a." Mniema on, iż konserwatyści, razem idąc, nic dobrego nie zrobili, a zatem powinni się rozłączyć. Wychodzi pewno z zasady, iż gorzej, niż jest, być nie może — i pod tym względem ma niewątpliwie racyę. Paweł Cassagnac sądzi wszakże, że może być gorzej, bo obecnie, wystawiając przy wyborach wspólnego kandydata, można, jeżeli nie pobić republikanina, to przynajmniej zebrać efektowną liczbę głosów. A z osobna... „On ne se sépare pas sur le radeau de la *Meduse*" — tłomaczą sobie szydercze te nawoływania dzienniki republikańskie, jakkolwiek Cassagnac zapewnia, że zwycięztwo dobrej sprawy jest już blizkie i że zawsze czas się rozłączyć, a mianowicie wówczas, gdy związana Rzeczpospolita kroczyć będzie za rydwanem zwycięzców. Dziwne bywa zaślepienie ludzi: oni nietylko eskontują przyszłe zwycięztwo, ale nawet drą się już o jego zdobycz. Bo na żadne kompromisy puszczać się nie myślą i jak tylko zdobędą władzę, ot, do ręki, to rozpoczną między sobą walkę na śmierć i życie.

Wszystkie te spory i krzyki nie są wszakże dostateczne dla przekonania nas, iż zniechęcenie nie zapanowało w szeregach konserwatywnych. Przypomina to co najwięcej wrzawę, którą za sceną tworzy 3—4 figurantów, mających wyobrażać „tłum" i wrzeszczących za 50. Z tłumu konserwatywnego wiara stanowczo znikła! To też gdy biskup z Annécy pisze peryodycznie swe listy pasterskie — teraz znowu jeden w świat wypuścił — o tem, iż „rząd dawny nie jest już we Francyi możliwy," to nie wzbudza najmniejszego podziwu, a gdy papież, kokietując z Cesarstwem, zwalnia południową Francyę, po której prezydent podróżuje, od przestrzegania postów, to wierni z wielkim apetytem zajadają republikańską szynkę. Gdy sztywny cylindrowiec, opakowany słomą, zaopatrzony w tabliczkę z napisem „fragile" i ostrożnie przeniesiony do wagonu przez Ferry'ego, przybył do Tuluzy, kler, reprezentowany przez kardynała Despreza, zwrócił się doń z mową, pozbawioną wszelkich zręcznych przytyków, w które elokwencya jezuicka dawniej była tak obfitą. Leon XIII przekonywa z powodzeniem duchowieństwo, iż obowiązkiem jego jest służyć interesom Kościoła, nie zaś partyi. Carnot odpowiedział na przemowy katolickiego i protestanckiego kleru stosownymi komplimentami, zupełnie zaś przejrzystej aluzyi rabina względem praw człowieka i protekcyi, jaką Francya zawsze świadczyła wydziedziczonym i pokrzywdzonym, oczywiście nie zrozumiał, bo nie podniósł.

Likwidacya bulanżyzmu jeszcze zakończona nie została, bo jesteśmy świadkami ostatnich jego podrygów. Galwanizują go błędy popełnione przez rząd republikański dnia 1 maja. Ale to nie długo już potrwa. Rozpadł się on na nieskończoną ilość grup i grupek, śród których trudno się połapać: jedne wracają do Rzeczpospolitej, drugie do prawicy, z której wyszły, inne nareszcie rozpościerają sztandar bulanżyzmu bez Boulangera...

Ubiegły miesiąc dał nam jaskrawy przykład upadku moralnego, do jakiego doszła burżuazya francuska. Młody, utalentowany poeta, Remy de Gourmont, autor „Syxtyny," ośmielił się wystąpić przeciw „Jarzmu patryotyzmu," za co pozbawiony został przez rząd posady w „Bibliotece narodowej," a zarazem jedynego środka do życia. I na czem polegała jego zbrodnia? Nie napadał na Niemcy, będąc wielbicielem ich filozofów, nie krył się ze swą czcią dla Goethego, Heinego i Wagnera, będąc artystą i nie wyrażał entuzyazmu z powodu zabitego w ostatniej wojnie malarza Regnaulta, twierdząc, iż kula, chociażby była dziesięć razy pruską, nie może nadać talentu temu, kto go nie posiada. Kult Regnaulta stał się teraz obowiązkowym we Francyi na równi z podatkiem i służbą wojskową. Wyraził pewien wstręt wobec patryotyzmu, który stał się przedmiotem wyzysku elektoralnego i niskiej reklamy w polityce, uświęceniem głupoty i trywialności — w literaturze. Pod strażą frazesów patryotycznych spekuluje ona na najsprośniejszych żądzach ludzkich. Tolerują się najbezwstydniejsze opisy wyuzdania płciowego, byleby wszystko to odbywało się pod cieniem trójkolorowego sztandaru. Nie zachwycają Gourmonta manifestacye urządzane przez kucharczyków, gdy opera probuje wystawić „Lohengrina," ani też plwanie na największe dzieła umysłu ludzkiego, dlatego

---

czuł i nie rozumiał, on stary, że to dziecko zabija się? Oczy jego utkwione były w robotę, spuszczone powieki nie zdradzały tajemnic ich głębi, blade światło nie rozjaśniło nizko pochylonej twarzy. Czyżby ojcowskie serce tak zastygło, tak zaparło się swej cząstki najdroższej, tej cząstki milszej i świętszej, niż własne „ja"? Lecz czegóż żyd nie poświęci dla grosza!

Gwiazdy zaczęły już blednąc w pierwszych blaskach dnia lutowego. Robota była na ukończeniu, parę godzin wspólnej pracy i wszystko będzie gotowe. Ale Lejzorek składa na stół niedokończone falbanki, zdejmuje naparstek i kładzie igłę.

— Tate, ja spać pójdę — mówi głosem tak cichym, a przytem tak chrypliwym, że zdaje się być raczej chrzęstem trzciny wodnej, wiatrem poruszanej. Wstał, opierając się o stół obiema cienkiemi i długiemi rękami, postał tak parę chwil, jakby zbierał siły, potem powoli, chwiejąc się w obie strony wysmukłą postacią, posunął się ku zapieckowi. Teraz dopiero podniosły się oczy Chaima i w ślad za synem pobiegły — szeroko otwarte, od pracy zaczerwienione, łzą zaciągnięte, wielkie, smutne. Zdawało się, że zastygł w tem spojrzeniu, tak mu ręka z wyciągniętą nitką zawisła w powietrzu, tak cały zamarł z pochyloną głową, z wpółotwartemi ustami. Chwil kilka łowił uchem dolatujący go z zapiecka szelest; słyszał, jak syn zdjął ubranie, jak ułożył się, jak kaszlnął parę razy, wreszcie westchnął cichutko i — wszystko ucichło. Wielkie westchnienie podniosło piersi Chaima, parę razy w lewo i w prawo poruszył się wahadłowo i przeciągłym szeptem, raczej jękiem, wyrzucił: Boże, Boże!..

Poczem znowu pochylił się nad robotą i z większym jeszcze, niż uprzednio, pośpiechem szyć zaczął. Na dziewiątą wspaniała, wizytowa suknia pani aptekarzowej była już ukończona i tym razem z obu zachwycająco systematycznymi bokami. Chaim mimowoli zapatrzył się na tę robotę, takie to gładkie było, piękne, szykowne. Gwoli większego swego tryumfu i ostatecznej pewności, postanowił ujrzeć to arcydzieło w całym jego blasku. Więc przywołał Małkę, która właśnie w tej chwili kończyła spłukiwanie garnków, od dnia wczorajszego spoczywających na półce z resztkami jadła, a dziś pełnych przeróżnych ruchliwych organizmów, z resztek tych wyprawiających sobie wspaniałą ucztę. Małka wiedziała już, o co chodzi; otarłszy więc fartuchem po łokieć niemal umurusane we wszelkich możliwych pomyjach ręce, zbliżyła się do męża, wzięła suknię z rąk jego i wgramoliwszy się na stołek, wrzuciła ją sobie przez głowę. Chaim cofnął się o krok i badawczym wzrokiem zaczął badać.

Dziwnie, co prawda, wyglądała ta szata, pełna jedwabnych upstrzeń i błyszczących guzików, zarzucona na brudny, pokryty plamami kaftan Małki; dziwniej jeszcze — wynurzająca się z jedwabnego ponsowego kołnierza kudłata, z mydłem i grzebieniem żadnej styczności niemająca głowa żydówki; ale Chaim nie zwracał na to uwagi; porwał go już był zapał artystyczno-krawiecki; widział tylko swoje dzieło i nad niem się zagłębiał.

Wyraz zadowolenia rozgładził twarz jego ze wszystkich niemal zmarszczek, przeciągnął ręką po brodzie, poprawił jarmułki i powoli, z upodobaniem wymówił:

— *Ganz recht!*

Po chwili suknia była już zawinięta i Chaim sam, nie chcąc budzić Lejzorka, tryumfalnie wyruszył z nią na miasto.

* * *

Jasne zimowe słońce jaskrawie nabrylantowało, przeczyście rozjaśniło dzionek. Mróz wprawdzie był tęgi, ale taka czystość, taka niezmąconość panowała w błękitach, w powietrzu, na ziemi, że cały świat zdawał się uśmiechać wesoło. Przechodnie wprawdzie kulili się i zasuwali ręce w rękawy, furmani musieli bić mocno rękami, aby im nie zesztywniały zanadto, konie stawały się kosmate od oszronionego włosa, a wąsy ludziom przymarzały do futrzanych kołnierzów — mimo to tak jakoś wszystkim było rzeźko i lekko, że całe miasteczko zdawało się prędzej i weselej poruszać.

tylko, iż stworzone zostały po tamtej stronie Renu. W prasie, teatrze, parlamencie, na ulicy szowinizm się rozlewa, przykrywając swym płaszczem najwstrętniejsze słabości i najgorsze infamie. Trzeba go szanować i poddawać się bez rokoszu jego kompromitującym gwałtom, jego barbarzyńskiej brutalności, jego obydnym wandalizmom ikonoklastów! Gourmont śmiało wystąpił w obronie ludzkiego indywidualizmu wobec tych potwornych więzów i za to na żądanie prasy burżuazyjnej został ukarany przez rząd. Oto do jakiego upadku doszła Francya, to wrzekome ognisko wolności, za rządów burżuazyi. Drży ona przed ideą, a każdy obszerniejszy pogląd w konwulsye ją wprawia. Prasa posiada obecnie wolność tylko o tyle, o ile jest demoralizatorką i ogłupicielką mas, a każdy, kto ma do powiedzenia lub zrobienia coś wybiegającego ponad przyjęty poziom, pada pod ciężarem otaczającej głupoty umysłowej, moralnego tchórzostwa i podłości! Siedzieć cicho i nie targać obroży!

L. W.

Z AUSTRYI.

Reforma administracyi węgierskiej. — Powodzenie hr. Szaparego i jego błędy. — Międzynarodowy kongres pocztowy w Wiedniu. — Dzieje powszechnej unii pocztowej — Muzeum pocztowe w Wiedniu.

Na porządku dziennym obrad parlamentu węgierskiego stoi sprawa pierwszorzędnej dla Węgier wagi: reforma administracyi, którą hr. Szapary pragnie upaństwowić. Spodziewano się znacznie silniejszej po stronnictwie skrajnem, broniącem resztek administracyi komitetowej. Przypuszczano powszechnie, że opozycya ta podbudzi raz jeszcze opór owych kół, których interesy ucierpią dotkliwie wskutek reformy, i że w parlamencie rozpoczną się obrady przewlekłe, dążące nie do przekonania, lecz do zmęczenia przeciwników.

Lecz zwrot w opinii publicznej utorował drogę usiłowaniom hr. Szaparego. Prezydent gabinetu węgierskiego nie zdołał sobie pozyskać opozycyi, przeciwnie skrajna lewica, powołując się, jak zwykle, na Ludwika Kosutha, zrobiła co mogła, aby podburzyć zwłaszcza prowincyę. Lecz tam właśnie agitacya jej napotkała grunt jałowy, a petycye masowe, któremi miano wpłynąć na członków parlamentu, nie przyszły do skutku. Tam bowiem, w komitetach, najlepiej znano, najdotkliwiej odczuwano niedostatki i zepsucie administracyi dotychczasowej, tak iż sztuczny zapał dla tych starodawnych instytucyj utrzymać się nie chciał. Najzawziętsi nawet municypaliści potrząsali już głową, widząc nieskończony niemal szereg nadużyć, systematyczne rabowanie kas sierocych i fundacyj. Niedawno w jednym komitecie 30 urzędników administracyjnych pociągnąć musiano do odpowiedzialności za przekroczenia władzy. Wobec tego istotnie zamilknąć musiało zamiłowanie do zarządzeń tradycyjnych, służących niegdyś za podporę konstytucyi węgierskiej. Pomijając zresztą nadużycia, biurokracya komitetowa była ciałem na wskroś przegniłem, niezdatnem do objęcia nowych zadań, które wyrosły z rozwojem stosunków.

Przyznać też należy hr. Szaparemu, że umiał zręcznie rozbroić przeciwników. Przedstawienie jego w pierwszej redakcyi wywołało opór wielostronny; wynikło mnóstwo kwestyj specyalnych, które groziły zabiciem myśli głównej. Lecz Szapary okazał niezwykły takt polityczny: oświadczył bowiem z góry, iż projektu swego nie uważa za doskonały, że gotów jest poczynić różne w nim zmiany; a połączywszy się z komisyą parlamentarną, dokonał istotnie licznych poprawek. Zwłaszcza w jednej z najgłówniejszych punktów prawie bez dyskusyi przyznał słuszność żądaniom podniesionym w parlamencie: szło o poręczenie swobody politycznej i bezpieczeństwa cywilnego wobec możliwych przekroczeń administracyi, wzmocnionej wskutek upaństwowienia. Gwarancye te dał węgrom Szapary, przedstawiwszy projekt osobnego sądownictwa administracyjnego.

W jednym tylko względzie projekt będzie jeszcze musiał uledz zmianie. Hr. Szapary pragnąłby połączyć reformę administracyi z poprawą finansów węgierskich i rozpoczyna tę operacyę, wyznaczając drobne pensye dla urzędników administracyjnych. Jest to błąd tak gruby, że minister, popełniający go dziś, zdradza nietylko lekkomyślność, ale wprost nieuctwo, brak znajomości doświadczeń poczynionych w biegu dziejów. Wiadomo, że najszczerszych urzędników posiadają państwa, które uposażyły ich materyalnie tak, że oni łatwo odpierają pokusy. Głodni i zadłużeni nie mogą być dzielnymi, sumiennymi urzędnikami. Zważyć też należy, że i administracya nie może się obyć bez talentów, a ludzie zdolni, obierając zawód, oglądają się za karyerą popłatną. Wydatki, połączone z administracyą dobrze urządzoną, zwracają się państwu sowicie. Spodziewać się należy, że Szapary i tę pomyłkę wyrówna, a wówczas mechanizm państwowy Węgier da krajowi istotnie porękę pomyślnego rozwoju.

W Wiedniu obraduje obecnie czwarty powszechny kongres pocztowy. Zadaniem jego jest dalsze rozwinięcie unii pocztowej, obejmującej dziś już wszystkie niemal kraje i ludy kuli ziemskiej. Wiadomo, że potrzeba komunikacyi pocztowej zniewoliła państwa do pewnych ustępstw w duchu zjednoczenia. Zrazu, przed rokiem 1850, porozumiewały się tylko bezpośrednio ze sobą sąsiadujące. Dopóki administracya poczty miała wyłącznie na oku cele fiskalne, nie podobna było myśleć o rozleglejszej unii, która wymagałaby jedności opłat. Dopiero wskutek inicyatywy Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej kongres pocztowy, obradujący w Paryżu 1863 r. spowodował porozumienie się wielu państw co do głównych zasad, które z czasem weszły w praktykę. Właściwym reformatorem na tem polu został dr. Stefan, kierownik niemieckiej administracyi pocztowej. Programem jego od lat wielu jest przeprowadzenie myśli ugodowego, jednolitego unormowania komunikacyi pocztowej na całym obszarze kuli ziemskiej. Dzięki jego zabiegom zebrał się kongres w Bernie 1874 r. Po raz pierwszy wówczas podpisały państwa umowę, na mocy której wszystkie uczestniczące w niej stanowią jeden obszar pocztowy z opłatą dla zwykłego listu 25 cm. Z inicyatywy Belgii utworzono wówczas „Międzynarodowe biura pocztowe“ w Bernie, które sprawie powszechnej komunikacyi ważne oddało już usługi. Następny kongres (1878 r. w Paryżu) usunął nierówności, zachodzące jeszcze co do niektórych przesyłek między krajami europejskiemi i zamorskiemi, ostatni zaś (1885) unormował komunikacyę pakietową aż do wysokości 5 kilogramów w sposób jednolity dla całego obszaru powszechnej unii pocztowej.

Umowę Verneńską podpisały państwa, obejmujące społem 40 milionów kilometrów kwadratowych. Obecnie unia pocztowa ogarnia 80 milionów km. kw. Po za jej obrębem stoją dziś jeszcze kolonie angielskie w Australii i na przylądku Dobrej nadziei, rzeczpospolita transwalska, państwo orańskie i cesarstwo chińskie, w którego

---

Chaim również rzeźko szedł z powrotem do domu. Nie daremnie przepracował dziś noc całą; aptekarzowa była ostatecznie zadowolona, a tak rada z niepraktykowanej słowności Chaima, że mu już nie nawet nie wspominała o skrawkach. Lecz co najgłówniejsza, niósł pieniądze w kieszeni, które go wyżywić mogły cały tydzień może, a do tego miał obietnicę nowej i prędkiej roboty. Wesół więc był i czuł potrzebę w jakikolwiekbądź sposób radość tę uzewnętrznić: Zbliżając się już do domu, wstąpił do kramiku i za całe dziesięć groszy kupił obwarzanków dla dzieci Niosąc je, uśmiechał się na myśl, jak jego mała Ryfka wyciągnie ręce do tych łakoci i zanim się jeszcze ze swą porcyą upora, zacznie odbierać innym, mniej, niestety, rozumnym braciom i siostrom. Ta Ryfka, to oko jego głowy, to słodycz jego życia. Jeśli Lejzorek jest jego pomocnikiem, doradcą i przyjacielem, to ta mała jest jego za wszystkie trudy nagrodą. Dziś jeszcze uszyje jej tę sukienczynę ze skrawków — och, jaka ona będzie w niej śliczna, istotnie jak cukier.

Z twarzą rozjaśnioną i myślą pełną pociech rodzicielskich wstępował w bramę swego dziedzińca, który dziś — nawet ten dziedziniec! — dzięki mrozowi wydawał się czystym i lśniącym. Gdy jednak po urwistej, lodem oszklonej pochyłości zstępował do rudery, w której suterenach miał swoje siedlisko, ucho jego uderzył jakiś gwar niezwykły. Donośne, pełne lamentu zawodzenie Małki akcentowało się w nim złowrogo. Przyśpieszając kroku i nieco blednąc, dobiegł drzwi swego mieszkania. Wrzawa cała zwróciła się ku niemu. Zrazu nic pojąć nie mógł: Małka krzyczała, płacząc i przeklinając, dzieci jej wtórowały, nawet mały Josiel, pozostawiony samemu sobie, piszczał co miał siły. Obejrzał się Chaim dokoła i nagle okropne przypuszczenie błyskawicą mózg mu przebiegło.

— Lejzerkiel — jęknął i rzucił się ku zapieckowi.

W półmroku leżał tam, jak legł wczoraj, jego pierworodny. Nie zmienił nawet postawy. Długie, wyciągnięte ciało, jak kłos użęty, spoczywało bezwładnie na kupie łachmanów; pełna czarnych punktów głowa zapadła głęboko w brudną poduszkę i blade rysy niknęły wśród tej podwójnej osłony: włosów i posłania. Chaim nizko pochylił się nad nim; cienka struga krwi sączyła się z ust chłopaka i spłynąwszy z posłania. utworzyła małą kałużę na zabłoconej podłodze, tuż przy nogach ojca. Cichy, głuchy jęk uleciał z piersi Chaima. Ostrożnie, lecz z siłą, jednem wytężeniem ramion podniósł chłopca z posłania; ręce jego i nogi zwisały bezwładnie, głowa z przymkniętemi powiekami, z strasznie otwartemi ustami, pełnemi krwi zaskrzepłej, spuściła się po przez ramię ojca. Uniósł go tak Chaim i położył na łóżku. Małka z rykiem rzuciła się ku dziecku; wyciągniętem ramieniem Chaim wzbronił jej padnięcia na syna.

— Wody! — wymówił schrypłym głosem, ale tak nakazująco, że kobieta bezwiednie rzuciła się do wypełnienia rozkazu.

Po długich chwilach oblewania, cucenia, ocierania, udało się Chaimowi uciekające życie rozbudzić w piersi syna. Małe serce uderzyło głośniej, parę głębokich westchnień poruszyło suchą pierś i zwolna, ciężko podniosły się wreszcie powieki.

W chacie tymczasem stało się ludno od przybyłych z całego dziedzińca na krzyk Małki sąsiadów. Były to wszystko kędzierzawe głowy, niemyte twarze, od warsztatu, od handlu, od rondli lub balii odbiegłe; wszyscy cisnęli się do łóżka chorego. Drzwi stały otworem i z sieni kłębiła się para chłodnego, świeżego powietrza.

— Czy doktór nie przejeżdżał jeszcze? — spytał Chaim pierwszego bliżej stojącego człowieka.

Między zebranymi zaczęły się szepty, pytania, informacye.

— Jeszcze nie — odezwał się ktoś odo drzwi.

— Małka, skocz do bramy — zwrócił się Chaim do żony.

(D. c. n.).

W. Dal.

portach jednak zagraniczne urzędy pocztowe ustanowiły swe biura. Chiny przysłały też pełnomocnika na kongres wiedeński.

Obraduje on w udekorowanych wspaniale salach Towarzystwa ogrodniczego. Przy tej sposobności urządzono w Wiedniu nowe muzeum pocztowe, mające za wzór podobną instytucyę istniejącą w Berlinie już od lat dwudziestu. Zapoznaje ono widza z rozwojem poczty i telegrafu, okazując wszystkie aparaty techniczne, służące do komunikacyi, oraz modele, plany i wizerunki gmachów przeznaczonych dla urzędów pocztowych i telegraficznych. Nader zajmujące są zwłaszcza modele wież morskich, okrętów pocztowych i wagonów kolejowych. *S.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Może w dobrej wierze puszczona, ale z piórami kaczki przyleciała z Wiednia wiadomość, że w Kole polskiem uzyskały przewagę żywioły, przeciwne dotychczasowej jego większości stańczykowskiej. Chociażby tak było, nie wątpimy ani na chwilę, że to zwycięztwo nie będzie trwałe. Mimo wszystkich porażek, mimo pewnego wzmocnienia a raczej ośmielenia się liberałów, stańczycy w Galicyi, a zatem i w Radzie państwa są za zbyt silni, ażeby te dęby mogły być pokonane przez rozrastające się u ich stóp krzewy. Zapewne gdy Galicya na swej polityce zupełnie zbankrutuje, gdy dojdzie do ostatecznego wyniszczenia, gdy ją ogarną mroki ciemnoty i owiną wężowe sploty nędzy, wtedy Olimp „pod baranami“ runie i u steru spraw krajowych staną nowi ludzie. Ale dziś jeszcze ta pora nie nadoszła i dlatego nie wierzymy w żaden przewrot i potoczenie się Koła po innej drodze. Przeciwnie, widzimy, że polip stańczykowski rozrasta się i rozpościera coraz dalej swe ramiona za granicami Galicyi. Ukazują się one nawet w Poznańskiem, które mu dotychczas nie sprzyjało, a że drobne jego odrostki sięgnęły do nas — wiadomo.

Starcie kilku czechów z niemcami na wystawie prazkiej, w którem obie strony obwiniają się wzajemnie o napaść, rozdrażniło znowu sfery rządzące do tego stopnia, że zapowiedziane przybycie cesarza uległo zwłoce. Gazety prusko-niemieckie wydobywają z tego i tym podobnych faktów pytanie: co warto dla Niemiec przymierze z państwem, w którem tak często i tak silnie objawia się nienawiść przeciw sojusznikowi? Trudno odmówić tej uwadze racyi. Rzeczywiście, Austrya, mająca w swem łonie więcej niż połowę ludów nienawidzących Germanii, jako sojusznica tej Germanii jest dla niej przyjaciółką bardzo wątpliwej wierności.

Niewyraźne bąkania gazet o zabiegach w sprawie odnowienia trójprzymierza, zdradzają jakąś dyplomatyczną robotę w tym kierunku, która napotyka pewne trudności. O co chodzi — nie wiadomo, widać tylko, że kontrakty nie zostały jeszcze ostatecznie ułożone i podpisane, chociaż ma to nastąpić wkrótce. Do układów wciągnięta jest Anglia, ale ona nie sprzeniewierzy się swemu tradycyjnemu systemowi zachowywania „wolnej ręki,“ bo on za zbyt okazał się dla niej korzystnym.

Od wstąpienia na tron Wilhelma II ani razu rząd nie znalazł się w takiem przeciwieństwie do większości narodu, jak obecnie w sprawie ceł zbożowych. Przeciwieństwo to jest tak wyraźne, że kanclerz Caprivi, wypowiadając w sejmie odmowę, musiał przyjąć na siebie odpowiedzialność za ten krok i wyraźnie przyznał zamiar „płynięcia przeciw prądowi.“ Niespodziewany zwrot tłomaczą gazety wyraźną wolą cesarza, który podczas ostatniej podróży przebywał śród wielkich posiadaczów ziemi i uległ ich wpływowi. Słabe były wywody kanclerza, którymi usiłował przekonać parlament, że dwumiesięczne zawieszenie ceł nie zniżyłoby o wiele ceny chleba, że przyniosłoby więcej szkody, niż pożytku, że wyszłoby tylko na korzyść sąsiadów, dostarczających Niemcom zboża, że wywołałoby spekulacyę itd., ale za to ważne było jego oświadczenie, że rząd nie powróci do wolnego handlu i pozostanie nadal przy protekcyonizmie. Ulgi pewne obiecał tylko ze strony traktatów handlowych (głównie z Austryą), które pozwolą na pewną obniżkę ceł.

Ażeby nie zasnęła czujność władz administracyjnych, obudzono ją przypomnieniem, że ludność przybywająca z Królestwa Polskiego do Prus na roboty, może pozostawać w ich obrębie tylko od 1 kwietnia do 1 listopada. Po tym terminie musi być natychmiast *ausgewiesen*.

Układy z Watykanem o obsadzenie arcybiskupstwa gnieźnieńsko - poznańskiego zostały przecięte. Leon XIII uznał, że jakiś opór w tej sprawie mu przystoi i na kandydata niemieckiego zgodzić się nie chce.

Rozbójnicy napadli pociąg kolei „Express Orient,“ idący z Wiednia do Konstantynopola, zrabowali go, uprowadzili zakładników, a wypuściwszy bankiera berlińskiego, kazali mu w pewnem miejscu złożyć 200 tysięcy fr. Rząd niemiecki wypłacił tę sumę, ale zażądał zwrotu jej od Turcyi.

W Bilbao wybuchły poważne rozruchy, skutkiem których musiano strzelać do ludzi.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ROZWÓJ SPÓŁEK AKCYJNYCH.

Kilkakrotnie wypowiadaliśmy w *Prawdzie* pogląd, że tegoczesny rozwój ekonomiczny zmierza nieodzownie i stale w kierunku coraz większej centralizacyi metod i środków produkcyi i ześrodkowania kapitałów. Bliżej jednak nie zatrzymywaliśmy się nad tem zdaniem, zwykle wtrącanem nawiasowo. Jednak znalazły się logiczne głowy, które wywnioskowały, że mniemam, jakoby z biegiem czasu liczba kapitalistów zeszła do kilku magnatów bogactwa... Pomieszano tutaj dwie rzeczy bardzo różne: centralizacyę produkcyi i liczbę rąk, w których znajdują się kapitały przedsiębiorcze, wreszcie prostą dążność ekonomiczną zamieniono na rzeczywistość. Wprawdzie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w kraju, dopóki rozwija się on przemysłowo, wraz z centralizacyą produkcyi podąża też centralizacya bogactwa w coraz mniejszej liczbie rąk. Procentowy stosunek ludzi różnej zamożności ulega wtedy zmianie; z jednej strony zwiększa się procent osób, żyjących jedynie z pracy rąk swoich, z drugiej — to samo widzimy przy wielkich majątkach, podczas gdy stany średnie zanikają. Statystyka podatku dochodowego w Anglii, póki kraj ten kroczył na czele tegoczesnego rozwoju ekonomicznego, uwidoczniała tę dążność wybornie, czego dzisiaj nie tak łatwo dowieść wskutek powolnego bankructwa przemysłu angielskiego. Natomiast centralizacya bogactwa z całą mocą występuje w związku północno-amerykańskim, który zajął dawne stanowisko przodujące Angli. Jedną ze spraw, zajmujących dzisiaj żywo opinię publiczną w Ameryce, jest właśnie kwestya tak zwanych „miliarderów.“ Lecz to ześrodkowanie bogactwa odbywa się poniekąd niezależnie od centralizacyi produkcyi. Możemy sobie zupełnie wyraźnie przedstawić taki stan rzeczy, że rozmiary przedsiębiorstwa stale się powiększają, a liczba kapitalistów bynajmniej się nie zmniejsza, dzięki temu, że wchodzą oni w spółkę i zbiorowymi środkami powołują do życia interes na wielką skalę. Wielu sądzi, że teraźniejszość przedstawia właśnie taki obraz. W świeżej krytyce socyalizmu, wydanej przez prof. W. Grahama, o której pomówimy kiedyś, spotykamy tego rodzaju pogląd. „Istotną dążnością teraźniejszości jest ześrodkowywanie kapitałów cząstkowych, które wszakże nie przestają być własnością indywidualną wielu kapitalistów małych, średnich i wielkich: jest to skupienie kapitałów, lecz nie w jednem ręku, jest to łączenie ich dla pewnego wspólnego celu, lecz mimo to nie przestają one należeć do oddzielnych posiadaczów. Dążność ta tkwi w tworzeniu spółek i ich związków, w przekształcaniu większych przedsiębiorstw na towarzystwa z jeszcze większym kapitałem, lecz oddzielny dawny posiadacz zatrzymuje znaczną część majątku i możliwie szerokie wpływy na gospodarkę.“ Bezwarunkowo jest to możliwość, którą każdy ekonomista rozumiał od dziesiątków lat wraz z tem, że taka spółkowa centralizacya kapitałów może w pewnych warunkach silnie zaważyć na skupianiu bogactwa. Atoli jeśli pytanie to wywołuje nieraz gorące starcia, chodzi o co innego. Mianowicie demokracya społeczna Europy zachodniej usiłuje dowieść, że ustrój, przez nią zalecany, jest koniecznem następstwem dzisiejszego rozwoju ekonomicznego. Między innemi wykazuje ona, że centralizacya kapitałów zwolna prowadzi do przygotowania gruntu pod inne stosunki społeczne. Przeciwnicy usiłują obalić te twierdzenia, uderzają więc na to, jakoby kapitał skupiał się, a raczej dążył do skupienia w niewielu rękach. Tymczasem jest to gra w ślepą babkę, gdyż jeśli owo stronnictwo przypisuje znaczenie jakiemuś procesowi, to tylko ześrodkowywaniu produkcyi, twierdząc zaś, że liczba kapitalistów się zmniejsza, konstatuje jedynie istniejącą dążność, która czy urzeczywistni się lub nie, w porównaniu z centralizacyą produkcyi posiada względnie mały wpływ praktyczyy. Jest to też stanowisko, z którego Graham prowadzi swoją krytykę. Towarzystwa akcyjne występują u niego jako deska zbawienia dla tegoczesnego porządku rzeczy. Właśnie w naszem ręku nagromadził się zwolna obfity materyał, dotyczący tego rodzaju towarzystw. Książka Grahama skłoniła nas do opracowania go i rozpatrzenia się w rozwoju i znaczeniu społecznem urządzeń akcyjnych.

Naprzód musimy się nieco zatrzymać nad rozmiarami wcielenia się w życie zasady akcyjnej. Wprawdzie posiadana przez nas statystyka tego przedmiotu jest bardzo niedokładna, chociaż niejednakowo dla oddzielnych krajów, podaje bowiem cyfry niższe, aniżeli spotykane w rzeczywistości. Już od pierwszego rzutu oka łatwo spostrzedz, że rozwój w pewnym kraju towarzystw akcyjnych pozostaje w ścisłym związku z kapitalizacyą jego przemysłu. W Przedlitawii znajdujemy 1887 r. 422 spółek akcyjnych, przedstawiających jednak olbrzymią sumę $1\frac{1}{2}$ miliarda guldenów spłaconego kapitału. Należy też dodać, że większość z pośród nich, bo 8%, datuje się dopiero od 1870. Niemcy poszły już dalej (dane dość niepewne, mniejsze, niż w rzeczywistości). W roku 1886/7 istnieje 2,143 towarzystw akcyjnych, reprezentujących ogółem kapitał około 5 miliardów marek. I tu również rozwój tych urządzeń datuje się od r. 1870. Belgia, której materyał statystyczny jest nadzwyczaj podejrzany, posiada w tym samym czasie co najmniej 610 towarzystw akcyjnych z opłaconym kapitałem 1 i pół miliardów franków (spółek komandytowych nie bierzemy w rachubę). Francya dostarcza nam cyfr jedynie wskazujących dynamikę akcyjności, lecz niepouczających, w jakich rozmiarach wcielona jest zasada zrzeszenia kapitałów w życie. W okresie 1881—1886 powstało 4,749 nowych spółek, z których 55% uległo rozwiązaniu. Od tego czasu prąd ten ol-

brzymio wzmógł się we Francyi, dzięki ukazaniu się ruchu syndykalnego wśród posiadaczów - rolników. Pierwsze jednak miejsce co do rozwoju zasady akcyjnej przypada w Europie Anglii, czego można się było z góry spodziewać. Liczba istniejących tam w 1888 towarzystw była niemal 4 razy większa, aniżeli ogółem w Przedlitawii, Niemczech i Belgii, gdyż wynosiła 11,000, przedstawiając 611½ milionów f. st. kapitału spłaconego. W jednym roku, 1887, powstało 2,050 nowych towarzystw. Związek północno-amerykański dostarcza jeszcze dalej idących wzorów, zresztą bardzo świeżego pochodzenia. W stanie Massachusets 1870 r. znajdowało się tylko 181 towarzystw akcyjnych (bez kolei żelaznych i banków), w 1887 zaś jest już 1182; w stanie Ohio (bez banków) liczono 1870 r. tylko 109, w 1887 zaś liczba tego rodzaju instytucyj wzrosła już do 605. Słowem, powyższe dane statystyczne wyraźnie świadczą, że spółki akcyjne względnie niedawno znalazły zastosowanie i że liczba ich wzrasta coraz szybciej, oraz, co dodamy od siebie, że dążą one do stania się panującą postacią przedsiębiorstw.

Zasada akcyjna jest najbardziej przewrotową i rewolucyjną formą w zakresie dzisiejszego gospodarstwa społecznego. Nie mało jest powodów po temu. Kapitał pojedynczy lub spółkowy, lecz z nieograniczoną odpowiedzialnością, nigdy nie posiada tej rzutkości, hazardowności i pobudki, co akcyjny, gdzie spólnicy są odpowiedzialni jedynie do wysokości udziałów. Pojedynczy kapitalista zawsze chce rachować pewno i nie przystąpi do interesu zbyt wątpliwego. Bez spółki akcyjnej wszelkiego rodzaju niepewne produkcye nie byłyby wyzyskiwane. Następnie tylko spółka umożliwia podjęcie olbrzymich przedsiębiorstw przewozowych i bankowych — zakładów, które najsilniej wstrząsają staroczesnemi posadami ekonomicznemi i prowadzą do ruiny rzemiosło z włościaństwem, dzięki wzmaganiu się fali wymiennej. Wreszcie zasada akcyjna umożliwia dopływ energicznych i inteligentnych sił do warstwy kapitalistów. Z góry można przypuszczać, że zwyrodnienie musi być udziałem klasy przemysłowej — z warunków bytu, w których ona wciąż się obraca. Tymczasem ruchliwy wynalazca zawsze znajdzie możność zjednoczenia pod postacią akcyjną pewnej liczby pojedynczych kapitałów, stworzenia nowego przedsiębiorstwa i stanięcia na jego czele. W ten sposób Bell, Edison, Lesseps, często holysze zostają przedstawicielami i współposiadaczami olbrzymich firm. Spółka, np. wyzyskująca w Ameryce telefony Bella, przedstawia kapitał blizko 7½ mil. dolarów! Dodajmy do tego, iż zasada akcyjna staje się jeszcze z innego powodu silną podporą dalszej centralizacyi przemysłowej. Ileż to razy jakieś przedsiębiorstwo rozpada się w następstwie działów lub z konieczności spłacenia długów! Dzisiaj spadkobiercy zmieniają majątek spadkowy na akcyjny; dłużnik znowu to samo robi ze swoimi wierzycielami. Wreszcie dotychczas powodzenie przedsiębiorstwa zależało od właściciela; z jego śmiercią, chorobą wszystko się nieraz rozprzęgało. Przedsiębiorstwo akcyjne jest wolne od tych wszystkich przypadków, otrzymuje ono jakby żywot wieczysty, niezależny od stanu zdrowia lub majątku kapitalistów pojedynczych. Opiera się na bezimiennej i bezosobistej podstawie. Dalej uwzględnijmy i to, że tego rodzaju połączenia cząstkowych kapitałów stają się coraz bardziej, w miarę centralizacyi przemysłu, jedyną formą, w ktorej drobny kapitalista może spodziewać się dochodu. Słowem, ów olbrzymi rozwój towarzystw akcyjnych jest zupełnie zrozumiały, podobnie jak i jego następstwa w zakresie metod produkcyi, a mianowicie powoływania do życia przedsiębiorstw na coraz większą skalę. To jego skutki doskonale uświadamiało sobie drobnomieszczaństwo północno-amerykańskie i długo walczyło, nim uległo i przystało na przyznanie zasady *laisser faire* w zakresie towarzystw akcyjnych... Słowem, z całą słusznością możemy powiedzieć, że dalsza centralizacya produkcyi znalazła w towarzystwie akcyjnem najodpowiedniejszą dla siebie formę prawną i że obie winny rozwijać się równolegle.

Ale powierzchowne rzucenie okiem na dzieje towarzystw akcyjnych wydobywa jeden fakt ciekawy. Dla przykładu weźmy Niemcy. Rozmiary przeciętne kapitału, przypadającego na towarzystwa akcyjne, założone przed r. 1871, wynoszą 10,8 mil. marek; zniżają się one w 1871 już do 4,01 mil., w 1872 r. tylko do 2,55, w 1873 r. zaś podnoszą się do 3,8. Po r. 1883 powołane do życia spółki nie posiadają więcej nad milion marek kapitału. W Anglii i Związku północno-amerykańskim dążność ta uwidoczniła się jeszcze silniej. A zatem centralizacya produkcyi i skupienie kapitałów staje się coraz mniejsze? Bynajmniej. Wejrzyjmy bliżej w dzieje powstawania spółek akcyjnych. Ukazują się one wraz z nowoczesnemi instytucyami finansowemi i olbrzymimi środkami komunikacyjnymi, co więcej, są jedyną możliwą formą prawną, w której te nowożytne przedsiębiorstwa mogły się objawić. Pierwszy też okres towarzystw akcyjnych polega na tworzeniu dróg żelaznych, linij parostatkowych morskich, banków, instytucyj kredytowych. Z czasem zasada zrzeszenia kapitałów zostaje zastosowana do wodociągów, gazów, ubezpieczeń, a dopiero w końcu wkracza do właściwego przemysłu przerabiającego, poczynając od górnictwa, a kończąc dziś na tkactwie, browarstwie, cukrownictwie itd. Widzimy więc, że rozpoczęła ona od zagarnięcia olbrzymich produkcyj, które inaczej nie powstałyby, a dopiero rozgospodarowawszy się tutaj dobrze, rzuciła okiem przed kilku laty na inne dziedziny, w których z powodzeniem można byłoby stosować jeszcze kapitał mniejszych rozmiarów indywidualny. Wolno powiedzieć przeto, iż spółka akcyjna dopiero wkracza do właściwego przemysłu. Uwidocznia to statystyka. W Przedlitawii z kapitału akcyjnego, wynoszącego 1½ miliarda guldenów w r. 1887, przypadało na banki 20%, na przedsiębiorstwa przewozowe 60% z górą, i tylko 17% na właściwo produkcye przerabiające, ogarniające przecież aż 61% ogółu spółek akcyjnych! Podobne zjawisko widzimy w Niemczech, z tą różnicą, że ponieważ koleje żelazne w większości wypadków są tu upaństwowione, odpowiednia rubryka wykazuje olbrzymie zmniejszenie. Banki zagarnęły w Niemczech 30% krajowego kapitału akcyjnego, mimo że stanowią 11% ogółu firm akcyjnych, ubezpieczenia 9%, kopalnie 12½%. A więc, spadanie rozmiarów kapitału akcyjnego, przypadającego na pojedyncze przedsiębiorstwa, jest tylko dowodem, że odpowiednia zasada wdziera się nawet tam, gdzie bez niej można by się jeszcze obejść. Gorzko się skarży na to van der Borght, autor, z którego częściowo korzystaliśmy... To zrzeszenie się kapitałów przemysłowych w drobną spółkę akcyjną rzadziej bywa — przynajmniej w Niemczech — łączeniem się małych kapitalistów, częściej zaś nowym sposobem likwidowania starych wierzycieli lub zaciągania świeżej pożyczki. W ogóle ze spółek akcyjnych drobne kapitały odnoszą rzadko trwałą pociechę. Dzieje dotychczasowe, chociaż krótkie, dostarczają wymownych obrazów, jak solidarność akcyjna staje się tylko matnią, w której wielka ryba cicho połyka małe. Nadziejo, że w tej postaci przedsiębiorstw kapitaliści mali znajdą ucieczkę, nie bardzo jakoś zgadza się z rzeczywistością. Gdyby zrzeszenie akcyjne ogarnęło ogół kapitalistów, a zatem w tej liczbie nawet drobnych, wydałoby ono owoce wręcz odmienne, niż spodziewa się Graham i inni. Produkcya akcyjna jest zabójstwem dla drobnego kapitalisty, pozbawia go bowiem samodzielności ekonomicznej, a nadto wyznacza każdemu rolę piątego koła u wozu, odziera go z jedynego uroku — robi działacza przemysłowego. Z chwilą gdy kapitał samodzielny zamienia się na akcyę, jego posiadacz staje się maszyną do podpisywania, uczestniczenia w zebraniach i otrzymywania dywidendy, którą może spożywać bez mozołów, jeśli ma kapitał dostateczny. Jest to już rola pasorzyta, daleka od krzątania się kapitalistów, samodzielnie prowadzących interes. Sama akcya krąży z rąk do rąk, posiadacz co godzina może nosić inne nazwisko, a jednak przedsiębiorstwo będzie szło, bez względu na to, że nie umiałoby powiedzieć, do kogo należy. Jest własnością akcyi bezimiennej! Otóż rozwój towarzystw akcyjnych odbiera możność bytu drobnemu kapitaliście, zmusza go do wyrzeczenia się roli samodzielnej poszukiwania związku akcyjnego, wreszcie przeciwstawia go tutaj wielkim potentatom, którzy, zjadłszy jego samoistność, obdzierają go z kapitaliku, dzięki sztuczkom giełdowym. Zola w *Pieniądzu* dał świeżo żywy obraz tej operacyi. Powstający z rabunku drobnych rybek wielcy akcyonaryusze w zasadzie akcyjnej znajdują wzór do dalszego zrzeszenia się — w trusty i kartele, i centralizowanie produkcyi. Weźmy trust nafciarski, który zjednoczył w swem ręku prawie całą produkcyę nafty amerykańskiej. Czy liczy on 100 lub 1,000 zrzeszonych kapitalistów, rzecz to małej wagi wobec tego, że tylko około 20 jest czynnych oraz wobec wywołanej centralizacyi w wytwarzaniu zarządu, sprzedawaniu i zrzeszeniu pracy oraz spowodowanych uproszczeń. A uproszczenia te i centralizacye muszą wywołać właściwe sobie, a dalsze skutki i znowu bez względu na liczbę akcyonaryuszów, którzy swoją drogą stają się coraz mniej liczni.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

L. Belmont. *W wieku nerwowym* (Moja spowiedź), powieść oryginalna, 1890.

Gdyby wyłącznem zadaniem autora było przedstawić człowieka zdenerwowanego — jednego z wielu, to ocenę jego pracy zawrzeć by można w tych słowach: jest to analiza psychologiczna dokonana niesłychanie drobiazgowo. Tak drobiazgowo, iż przez porównanie nasuwa się obraz jakiegoś laboratoryum, w którem chemik zajęty jest rozbiorem ciekawego związku przy pomocy najwrażliwszych odczynników i doskonałej wagi. Powieść ta — to niby rysunek, szpilką na papierze wykłuty, w którym nie pominięto nawet drobnych rysów, a każdy z nich składa się z mnóstwa drobniutkich punkcików. Autor postępuje za obranym do doświadczeń człowiekiem krok w krok, śledzi każdy jego zwrot, zauważa nawet lekką zmianę w układzie mięśni i kurcz nieznaczny, idzie za nim w dzień, w nocy, w słotę i pogodę, przygląda mu się przy najrozmaitszem oświetleniu, każe mu wdrapywać się na wzgórza i przebiegać niziny, wystawia go na wszelkie próby, było osiągnąć nowe spostrzeżenie i zapisać, jak zachowywał się w tych lub owych warunkach. Utwór ten — to kretowisko psychologiczne, rozgrzebane do ostatniego ziarnka piasku, to zadanie wymagające tyle cierpliwości, co przebranie korca maku lub rozplątanie powikłanych pasm bawełny — słowem, jest to powieściowo studyum psychologiczne. Atoli studyum to to część tylko zadania, autorowi nie szło jedynie o pokazanie jednostki — jakkolwiek ta wśród ogó-

łu mogłaby reprezentować dość liczną gromadkę — usiłował bohatera swego uogólnić, skupić w nim właściwości moralne i umysłowe pokolenia i wieku, stworzyć zeń typ wyższego rzędu, któryby dla naszej chwili był choć tem, czem Manfred lub Werter byli dla pewnych momentów rozkwitu romantyzmu. Celu tego nie dopiął.

Istotnie, wiele cech, jakie odnajdujemy w bohaterze powieści — jego sceptycyzm, owa myśl rozdwojona i samą siebie przegryzająca, wszystkiemu przecząca i wszędzie upatrująca zagadek, ów brak woli życia, zespolonej ze słabem pojęciem obowiązków, wszystko to tylo jest charakterystycznem dla chwili obecnej, co naprzykład pasma babiego lata dla jesieni... Uwijają się one w powietrzu, spotyka się je co krok, zwiastują one przełom w naturze. Autor jednak zaszczepił te cechy na gruncie choroby i to właśnie przeszkadza im zestroić się w typ. Rozstrojone nerwy bohatera nie są bowiem jedynie stwierdzeniem faktu, że nerwoza rozwielmożniła się za naszych czasów w tym stopniu, iż typ współczesny nie może być od niej wolnym, nie stanowią one objawu pobocznego, wikłającego prawidłową rolę czynników moralnych i umysłowych, lecz przedstawiają czynnik główny. Człowiek ów, słaby i bez charakteru, pozbawiony woli nie rządzi się ani rozsądkiem, ani poczuciem sprawiedliwości, idzie wyłącznie za głosem nerwów, dla uzasadnienia nasuniętych przez nie pobudek posiada w głowie mnóstwo teoryjek, lecz dla poskromienia ich ani szczypty poczucia obowiązku. W rozdrażnieniu nerwowem spełnia on czyny, których żadna na świecie teorya usprawiedliwić nie może, ale które choroba poniekąd tłomaczy. Skoro jednak raz wstąpimy na grunt niepoczytalności, nie może być już więcej mowy o typie moralno-umysłowym, ponieważ w sferze jego bytu używamy miary do sądzenia jakiej dzisiaj, w czasach, kiedy głos lekarza przed sądem nabrał mocy rozstrzygającej, nikt już nie stosuje do ludzi chorych. Może jednak ludzkość cała jest chora? Prawdą jest, że my wszyscy nerwowi, że mnóstwo przyczyn targa i napręża nasze nerwy, ale dotychczas przynajmniej niema na to dowodów, iżby środek ciężkości współczesnego typu wyszedł już ze sfery intelektualnej i spoczywał w sferze wyłącznie fizyologicznej. Można być tego mniemania i można je dowodzić w typie powieściowym, ale w danym razie typ ten nie posiada siły przekonywającej. Bohater powieści ani na chwilę nie wydaje się wcieleniem umysłowości schyłku naszego wieku, natomiast od początku do końca wydaje się istotą rzeczywistą, i dobrze zanalizowaną jednostką. Czci życie i prawdę w jego opowiadaniu o sobie, ale nie zakreśla ono pod nim tej szerokiej podstawy, jakiej wymaga po sąg, mający wyobrażać ostatnie dziesięciolecie wieku.

Autor utożsamia się w powieści z bohaterem czyli opowiada w własnem imieniu. Sposób ten o ile mało sprzyja plastyce postaci, o tyle pozwala bez miary szperać w odruchach psychicznych; szperanie też p. B. posuwa do przesady. Czy w samej rzeczy, żeby dać pojęcie o jakiemś zjawisku duchowem, potrzeba przeglądać duszę z troskliwością skąpca, który wysypawszy z worka złoto, bada jeszcze płótno, czy doń celkin jaki nie przylgnął? Zapewne, lekarz wówczas dopiero z całą pewnością określi chorobę, gdy dokona sekcyi, ale ponieważ nie może się nią posługiwać przy stawianiu dyagnozy żyjącemu, więc musi poprzestać na ograniczonej ilości oznak, jakie mu dostarcza zbadanie pacyenta. Jest to poniekąd wskazówką dla autorów — ograniczyć się do typowych momentów procesu duchowego. Zajęty analizowaniem myśli i uczuć na przestrzeni pewnego procesu duchowego, autor nie troszczy się o to, abyśmy wiedzieli cokolwiek o pochodzeniu jego bohatera. A przecież jeśli z góry nie zamierzał usunąć go od oceny umysłowo-moralnej, to nie mógł zapomnieć, iż czytelnik w roli sędziego zapyta przedewszystkiem o to: skąd powstał ten typ, co to za wytwór, jakie wpływy kształtowały jego umysł i charakter? O tem wszystkiem nic wiemy nic lub bardzo niewiele.

Zawieramy znajomość z bohaterem w epoce, kiedy jest studentem medycyny, na ostatnim kursie. O przeszłości jego, latach pierwszej młodości, warunkach, pośród których się rozwijał i przyczynach wczesnego rozstrojenia nerwów prawie nic nie wiemy ogólnikowo wspomina on, że spędzał życie w wielkiem mieście sam, zapomniany przez krewnych i nietroszczący się o nich, nie tęskniąc nawet za starą matką, jakkolwiek ona jedna kochała go prawdziwie. Utrzymywał się z korepetycyj, które wypełniały czas jego bieganiem z jednego końca miasta na drugi, z lekcyi na lekcyę, w słotę i chłód lub skwar. Do zawodu swego nie czuł zamiłowania, tłomaczy się, iż wstąpił na medycynę częścią ulegając życzeniom matki (!), częścią dla chleba, częścią dla tego, iż początkowo idealizował tę gałęź wiedzy. Ogrom pracy jednak i denerwujące zajęcia prosektoryum zniechęciły go do medycyny. Owe korepetycye oraz związanie z zawodem niemiłym stanowią dość ważne i jedyne dane faktyczne, wyjaśniające przyczyny zdenerwowania. Przytem stosunek bohatera do owego zawodu wskazuje nam odrazu środek ciężkości jego natury. Idealizował medycynę póki nie odczuł jej na swych nerwach, gdy te wzdrygnęły się pod wpływem przykrych wrażeń, znalazł natychmiast tysiące dowodów na to, że najnędzniejszą ze wszystkich jest nauka Eskulapa.

Przyczyn szczególnych, któreby zaprawiły goryczą stosunek jego do ludzi nie widzimy. Wspomina o zdradzie jakiegoś przyjaciela i pierwszej nieszczęśliwej miłości, są to jednak wzmianki ogólnikowe, które niczego nas nie uczą. Sceptyzm zaś jego nie zdaje się mieć oparcia w głębokiej wiedzy, nie widzimy bowiem, jak i kiedy ją posiadł. Medycyny uczył się dorywczo, odkradając kilka godzin nocy, wierzyć jednak musimy, iż czytał wiele, pytania społeczne i filozoficzne zajmowały go najwięcej. Umysł jego odznaczał skłonność do analizy, życie zaś samotne zwróciło skłonność tę w kierunku wgłębiania się w samego siebie. Lubił badać własny mózg i serce, analizować swoje uczucia i myśli. Była to jakaś samobójcza uciecha — powiada — nagromadziwszy cały stos *pro* i *contra*, nie wiedziałem wreszcie, po której stronie jest słuszność; nie potrafiłem złożyć tego, co tak wybornie rozebrałem. Z uczuciami było jeszcze gorzej: rozmyślaniem nad niemi ochładzałem je, osłabiałem; nie wiedziałem już, co czuję i czy czuję w ogóle. A ten stan ciągłej niepewności paraliżował moją wolę; byłem chwiejnym, kapryśnym, wiecznie niezadowolonym z siebie. Jak widzimy, typ ten ze strony intelektualnej ani nowym, ani zagadkowym nie jest. Przewaga myśli nad uczuciem, umysł dla którego analiza jest potrzebą i udręczeniem znalazły już odbicie w typach powieściowych, zwłaszcza literatury francuskiej. Specyficznem zaś znamieniem naszego bohatera jest to właśnie, iż zastąpił on trybunał etyczny trybunałem nerwów, do którego, pod płaszczykiem filozofii apeluje we wszystkich sprawach życia. Flozofia jego — to nerwy, etyka jego — to nerwy. Systemat jego poglądów — to powierzchnia rzeki, której barwa zależy od barwy nieba i kierunku promieni słonecznych. Gdy nerwy jego zostaną nastrojone na nutę bachusową, znajduje natychmiast w swej sieczce filozoficznej wszystkie argumenty na korzyść optymistycznej teoryi życia, gdy życie zadrapie go ostrem zgrzebłem — wyławia same czarne źdźbła. Człowiek ten jest chory moralnie, ale nie może wyzdrowieć nie podreperowawszy nerwów. W tych warunkach z właściwościami jego umysłu można się nie liczyć, nie one to zabarwiają typ jego. A jak sądzić ze strony moralnej człowieka, o którym przypuścić można, że gdyby we właściwej chwili z pomocą odpowiedniego środka lekarskiego stłumił sam rozdrażnienie, to nie popełniłby czynu napiętnowanego przez etykę?

W postępkach swych tak się przedstawia. Przyjechawszy dla odpoczynku na letnie mieszkanie do jakiegoś miasteczka, poznaje młodą dziewczynę, której widok—inaczej wyrazić tego nie można — łaskocze mu nerwy. Jest on bardzo wrażliwy na wdzięki niewieście. Należy do gatunku ludzi, którzy niezdolni są czuć głęboko i stale, ponieważ uczucie takie nuży i wyczerpuje im nerwy, z łatwością jednak zostają podnieceni np. obecnością kobiety. W danym zaś wypadku do powabów fizycznych przyłączył się interes moralny, jaki obudzała bohaterka. Była ona córką profesora i uczonego, który wskutek nadmiernej pracy zwaryował, ojca kochała bardzo, nieszczęście swe odczuła niezmiernie, wpadła w rodzaj cichej melancholii i apatyi, którą podtrzymywał proces rozkładowy, jaki nastąpił w jej myślach. Był to pesymizm wyrosły na gruncie uczucia, który powoli wchodzić zaczynał w fazę rozumową.

Rymsza — nazwisko bohatera — nabiera współczucia dla Cezaryny i ulega pragnieniu uleczenia jej, on, który we wszystkich pesymistycznych wywnętrznieniach Cezaryny słyszy powtórzenie własnych myśli, sam sceptyk, pragnie natchnąć ją chęcią do życia i wiarą w szczęście. Zjawisko to bynajmniej nie jest zagadkowe. Załaskotany zachowuje się tak, jak w podobnych okolicznościach ze strony pospolitego popędu zachowuje się cietrzew: usiłuje samczymi powabami zniewolić dla siebie wybraną. Cietrzew jednak nie oszukuje, wystawia bowiem na pokaz swe piórka, swe istotne ozdoby i powaby. Tu zaś, ponieważ do sprawy wpływają czynniki natury duchowej, samiec więc dla podboju miłosnego użyć może całego arsenału środków, zdobytych z pomocą wyrafinowanej obłudy. Kobieta jest chora, utraciła chęć do życia — wyleczyć ją, przywrócić jej wiarę w szczęście, to znaczy pozyskać ją dla siebie. Niech stanie przed nią człowiek z silną wiarą w życie, z jasnym i ustalonym poglądem i niech w niej odezwie się ten sam instynkt płciowy—a sprawa wygrana. Rymsza nie układa wprawdzie z góry planu podstępnej kampanii, bo też do spraw tych nie potrzeba wcale Talleyrandów dyplomacyi miłostkowej, wystarcza instynkt samczy i doświadczenie, zdobyte w łatwych miłostkach. Rymsza być może nie zdaje sobie nawet na razie sprawy z tego, iż wstępuje na drogę pospolitego oszustwa, idzie on ślepo za głosem pobudek nerwowych, być może nawet, że w chwilach największego podniecenia wierzy w rzeczywistość misyi swojej wobec Cezaryny. Ale ten stan nerwów nie może trwać długo, i Rymsza później sam doskonale uświadamia sobie to, iż odgrywa komedyę, dopóki jednak pierwsza pobudka, podniecenie miłosne, nie zatarło się pod wpływem jakiegoś silniejszego wrażenia, póty wola jego nie może się zdobyć na zdarcie maski. Wreszcie gdy zdziera ją, czyni to nie pod wpływem rozbudzonego sumienia, lecz ulegając nowej, wręcz przeciwnej pobudce nerwowej — i naturalnie czyni to w takiej chwili, kiedy jest to już podłością. Cezaryna kocha wówczas i pod wpływem tej miłości i wiary w niego odrodziła się. Cios zadany jej był straszny, Rymsza jednak nie poprzestał na jednym. Nastąpiła w nim teraz długa reakcya nerwowa, która wyrażała się potrzebą udręczania i torturowania moralnego kobiety tyle „głupiej," iż na chwilę uwierzyła jego kłamstwom.

W szczegóły obrazu tego, ponieważ zbyt są liczne, wchodzić nie będziemy. Widzimy iż Rymsza jako osobnik chory fizycznie i moralnie, jest zupełnie zrozumiały i bardzo prawdziwy. Ponieważ autor ustosun-

kował w bohaterze swym chorobę fizyczną i moralną w taki sposób, iż nacisk położył na pierwszą, tem samem więc przed surowością oceny moralnej go zasłonił. Rymsza chory, zdenerwowany, o nerwach łamiących się przy silniejszem wrażeniu, nie wytrzymujących zarówno bólu, jak radości, udręczający siebie tyleż co innych, jest zdaniem autora, bardziej nieszczęśliwym niż winowajcą. Zasługuje on na litość, jaką też w końcu okazuje mu nawet Cezaryna.

F. B.

MUZYKA.

Eliasz. Oratoryum Mendelsohna.

Przyznajemy, że długi czas zapowiedzi *Eliasza* wydawały się nam „obiecanką cacanką," pośród bowiem takich dużych dzieł zawsze nas dużo kosztuje i tem większe przeto było zadowolenie, gdy afisze obwieściły czarno na różowem, że wspaniała kompozycya naprawdę w Warszawie wykonaną będzie.

Podobno lat kilkanaście czy kilkadziesiąt temu, oratoryum autora „Pieśni bez słów" słyszano u nas, ale zdaje się, że to w niczem zasługi dzisiejszej inicyatora nie umniejsza, albowiem między ową dobą odległą a obecną ciągnie się długi okres, będący dla muzyki siedmioma krowami chudemi. Godłem produkcyj muzycznych było *potpourri* i ponad taką właśnie wartość rzadko jaki koncert się wznosił. Teraz zaś przeżywamy maleńkie w muzyce odrodzenie, wyrastamy z wieku operetkowej zabawy i wyrabiamy w sobie gust do sztuki poważnej.

Naturalnie nie dojrzeliśmy jeszcze o tyle, ażeby módz się odważyć na cały, niepochlastany czerwonym ołówkiem utwór Mendelsohna, złożony z 42 numerów, ale i to, co nam dano, stanowi niemało. Główne piękności dzieła ocalały i ma się niezłe pojęcie o całej melodyjności muzyki, którą artysta wysnuł na temat poetycznych bardzo i wdzięcznych dla siebie motywów Starego Testamentu, wysławiających proroka. W księgach „królewskiemi" zwanych znaleźć może czytelnik pełną głębi i dosadności naturalistycznej opowieść o tem, jak za sprawą króla Achaba i żony jego Jezabeli lud izraelski odwrócił się od jedynego Boga i począł bić pokłony Baalowi, jak spadły za to różne klęski na odszczepieńców, jak Eliasz spełnił wiele wielkich czynów, które otworzyły narodowi wybranemu oczy na jego grzech i wskrzesiły w nim serdeczną cześć Jehowy. Jest to epopea, albo raczej dytyramb z luźnych epizodów złożony, otchniony szczerą wiarą w boskie posłannictwo proroka i każdochwilową gotowość Boga do objawiania swego gniewu i potęgi, oraz przewagi nad fałszywymi bożkami. Obok szeregu cudów bohatersko - religijnych, jak uzdrowienie syna wdowy z Sareptu, jak zdarzenie, przypominające legendę o gościnności Piasta, jak żywienie proroka na puszczy przez kruki, jak rozgromienie kapłanów pogańskich i zwycięztwo ofiary żydowskiej, dobrotliwie pochłoniętej przez ogień z nieba, drga w tem podaniu nuta miękkiego i rzewnego uczucia, nuta elegijna, pełna wyrazu łagodnego cierpienia i poddania się, a płynie ona z serafickiego niekiedy nastroju Eliasza, osobliwie gdy ucieka on przed pomstą pary monarszej i wzywa Boga o śmierć. Podobnież i słowo boże odzywa się od czasu do czasu wbrew zwykłej grozie swej, kojącą miłością, niemal czułością macierzyńską, którą Mendelsohn uplastycznił, włożywszy ją w serce i usta aniołów pańskich.

Na ten charakter w połowie liryczny hymnu o Eliaszu zwracamy rozmyślnie uwagę, albowiem on to niewątpliwie znęcił elegijną lutnię Mendelsona i sprawił, że *Eliasz* od początku niemal do końca jest bardzo blizkim rozpłynięcia się w tonach słodkich, pewnym smutkiem nacechowanych. Jeżeli komuś, osłuchanemu z „Pieśniami bez słów," mogłoby się wydawać, że kompozytor ten umie wybuchać siłą wiekową, bardziej tragiczną i tytaniczną, niż rzewność śpiewna barkarol weneckich lub tęsknych duetów, to oratoryum świeżo wykonane rozczaruje go, bo zrodzi może nawet chwilami głód interpretacyi i efektów wstrząsających, potężnych, a mianowicie w momentach borykania się ze zgrubiałą tłuszczą Achaba i Jezabeli, jak we wszystkich wogóle chwilach walki i kary bożej. Umie się on zdobyć na powagę i namaszczenie, że wspomnimy hejnał końcowy „Święty, święty jest Bóg," lub scenę burzy od morza idącej, lecz zupełnie świeżym, nowoczesnym wymaganiom stylu dramatycznego i plastyki zadosyć nie czyni. Za to sypie szczodrze klejnoty harmonii i melodyi w scenach, gdzie przeważa uczucie, a także we wszystkich występach aniołów. Słynny tercet ich w części drugiej, pocieszający przygnębionego proroka, przypomina trochę pomysłem i skupieniem znane przekleństwo Manfreda w kompozycyi Schumana i uderza oryginalnością. Partya basowa samego Eliasza brzmi uroczyście i wieszczo, ale niedosyć silny i niedosyć wysoki głos p. Sillicha osłabia ją trochę i tamuje po prostu szeroki swobodny polot melodyi, mimo że skądinąd śpiewak to wyborny i muzykalny.

Że Mendelsohn obok całej swej ambicyi odnowiciela klasycyzmu, był nawskróś przejęty unoszącemi się w powietrzu czarami muzyki nowej, romantycznej w duchu swym, subjektywnej i pieśniowej, to widać dziwnie wyraźnie w partyi młodego Abdyasza, który idąc za popędem serca, sprzeniewierza się królestwu i staje się wiernym synem proroka. Rola ta zachwyca swym akcentem żałości i bólu, niesprawiedliwionym przez treść, niewłaściwym, lecz pięknym, głębokim i świetnie napisanym. Motyw „A kto mię z was z całego serca szuka," będący powtórzeniem słowa boskiego, pieści ucho prawie boleśnie, tyle w nim ukrytej tęsknoty osobistej, całkiem świeckiego rodzaju. Rzekłbyś że to słabe echo rozdzierającego jęku z 21 pieśni, który coraz głębszemi i cichszemi odzywa się szlochaniami, choć przecie w krzepiącej zapowiedzi Jehowy raczej otucha i męztwo winnyby górować.

W sposób misterny na chóry, orkiestrę i głosy solowe ułożona kompozycya ta nie ma w sobie nic z epizodyczności biblijnego urywka lecz rozwija się od uwertury do finału jednolicie i spoiście, olśniewając pysznemi powiązaniami głosów. Cały personel muzyczny i wokalny teatrów naszych stanął do apelu pod wodzą p. Rzebiczka. Soliści, panie Rzebiczkowa, Lewicka, Babińska, Wojakowska, panowie Myszuga, Sillich i Crotti wywiązali się z zadania jak nie można lepiej. Liryzm tenora naszego doskonale nadawał się do nastroju Mendelsohna, panna Babińska z wielką szlachetnością i inteligencyą władała swym nie rozległym ale głębokim i sympatycznym głosem. Wszyscy byli w najlepszem usposobieniu a zbiory wyćwiczone przez p. Zakrzewskiego, były wyśmienite. Słowem ani jeden ważniejszy *lapsus* nie zepsuł ogólnego wrażenia, które było i być musiało wysoce dodatniem, mimo iż na próbie jeneralnej nie wszyscy obiecywali należytą przytomność. Jeżeli zważyć szerokie ramy dzieła, wypadnie, żeśmy naprawdę, bez frazesów mówiąc, mieli na zakończenie sezonu cenną ucztę artystyczną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

30 maja.

Bezkrólewie w Poznaniu. — Kapela Straussa. — Rozdrażnienie wśród wielkich polityków. — Powrót niemieckich nauczycieli na łono rodziny. — Wiece. — Nabytki niemieckie. — Dla izraelitów.

Jesteśmy w epoce przejściowej i bezkrólewia: *non habemus papam* — a miasto nasze faktycznie niema w tej chwili opiekuńczego nad sobą oka troskliwej swej reprezentacyi. Z czterech płatnych urzędników magistratu niezadługo żadnego mieć nie będziemy. Dotychczas wybrany i potwierdzony na pierwszego burmistrza p. Witting ma dopiero przybyć, jak mówią, w końcu czerwca. Drugi burmistrz p. Kalkowski, mianowany radcą krajowym, opuszcza swój urząd już 1 czerwca, a zanim na jego miejsce zostanie wybrany kto inny, upłynie sporo czasu. Radcy płatni, pp. Loppe i Rump, podali się do emerytury i obecnie korzystają z urlopów, a na ich miejsce dopiero za kilka miesięcy inni będą mianowani. W służbie tedy pozostaje jedyny radca płatny p. Grüder, budowniczy, a nadto siedmiu niepłatnych. Ósmy, Kantorowicz, dopiero z początkiem maja wybrany, czeka na zatwierdzenie regencyi jeszcze parę dobrych miesięcy. W ten sposób, rzecz jasna, wszystkie niemal sprawy miejskie nagle stanęły aż do jesieni. Nic tu jednak nie pomoże ani głośne szemranie, ani skargi, tych parę miesięcy trzeba przecierpieć, a na pocieszenie zmartwionych, których sprawy nagle będą musiały czekać sezonu kartoflanego, sprowadził zarząd nadworną kapelę Edwarda Straussa, która niemal codziennie przygrywa w ogrodzie zoologicznym. Na pierwszym koncercie zgromadziła się publiczność bardzo licznie, na drugim—tylko w bardzo nieznacznej ilości. Zaczęto tedy poszukiwać przyczyn burzenia się tej części ludności, którą tu nazywają „najniespokojniejszym elementem" i znaleziono. Oto okazało się, że afisze, zapraszające na koncert, były tylko w języku niemieckim. Takiemu brakowi zaradzić nie trudno, czytamy tedy dzisiaj przylepione na słupach plakaty następującej treści: „Koncert wykonany przez c. k. austr. dyrektora muzyki p. Str*auss* z Wiednia z swoj*em* zupeł*nem* orkiestr*em*... Wieczorem wiol*kie* ilumi*nacye* i oświe*cenia* ogrodu. *Przy* niepogodzie..." Wrażenie z ogłoszenia tego, które musiało być tłomaczone — jak to ze stylu widać — urzędownie, wedle recepty prezesa sądu p. Frautza, było olbrzymie. Publiczność wzruszona dyrektorem muzyki p. Str*auss*, zjawiła się w ogrodzie jaknajliczniej, a tym sposobem równouprawnienie języków na plakatach weszło praktycznie w życie.

W sferach naszych przedstawicieli wyższej polityki państwowej, panuje obecnie: 1-o niepokój, 2-o olbrzymie rozdrażnienie. Wywołał je ni mniej ni więcej tylko spokojny zwykle ks. dr. Jażdżewski. Gdy przyszedł pod obrady sejmu pruskiego etat komisyi kolonizacyjnej i poseł Conrad powiedział, że „ustawa kolonizacyjna jest dziełem dobrem, pożytecznem i dobre wydającem owoce," zabrał głos ks. J. i w sposób arcydelikatny domagał się „uprzątnięcia owego wytworu nienawiści i złości exkanclerza." Odpowiedział mu Caprivi i odpowiedział tak, jak to niemcy inne plemiona traktować zwykli, tj. brutalnie. „Koło polskie" już wskutek tej wyprawy się zniechęciło i wystąpieniem swego posła przeraziło — zarządziło tedy środki zaradcze przeciw wszelkiemu dalszemu starciu się z rządem. Tymczasem gdy w Izbie deputowanych pojawił się na porządku dziennym etat ministeryum oświaty, zabrał głos znów

tenże sam ks. Jażdżewski i domagał się powierzenia proboszczom w Poznańskiem przewodnictwa w dozorze kościelnym. Odpowiedział mu na to minister Zedlitz, a odpowiedział tak, jak w sejmie Caprivi. Tego było już podszytym zajęczą skórką posłom za wiele; nie wiedzieli sami, co mają z sobą zrobić. Przekształcali się już w pantofie rządowe, tak było im z tem dobrze, mieli w tekach poselskich już setki obietnic „gruszek na wierzbie,“ a tu znalazł się między nimi taki warchoł, co na to nie chce się zgodzić. Oburzenie było bez miary, mówiono o złamaniu solidarności poselskiej, o usunięciu zuchwalca, dawano mu myśl rezygnacyi dobrowolnej, a wreszcie cofnięto się do prasy. Rzecz dziwna, prasa, wezwana przez Koło na pomoc, niemal jednomyślnie stanęła przeciw Jażdżewskiemu. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na treść odpowiedzi ministrów, którzy z całą stanowczością i bez ogródek oświadczyli: „Alles bleibt und wird beim Alten bleiben.“ Gdyby już nic innego nie dostało się Poznańskiemu po mowach ks. Jażdżewskiego, to przynajmniej wydobycie na jaw tego oświadczenia należy uważać za wielką zdobycz, bo w ten sposób za jednym zamachem wyklarowała się sytuacya parlamentarna polaków. Swoją drogą poseł wspomniany nie zrobił dobrze, bo złamał solidarność Koła. Jeżeli się z jego polityką nie zgadzał, mógł był wystąpić i rozpocząć walkę samoistną, do której, kto wie, czy kiedyś nie przyłączyłaby się cała prowincya. Tymczasem etat ministeryum oświaty, jak i komisyi kolonizacyjnej, uchwalono.

Niepodobna zaprzeczyć, że „Koło“ nie może się poszczycić żadnemi zdobyczami na polu polityki parlamentarnej. Różne są tego powody. Można to w znacznej części przypisać niejasności i niejednolitości zapatrywań i postępowania kół, które są powołane do kierownictwa w tej ważnej sprawie, a nigdy jeszcze nie dał się tak uczuć brak jakiegoś stałego programu, jak obecnie.

Dalsza serya sprowadzonych nauczycieli niemieckich już wyruszyła z naszej prowincyi na powrót w swe rodzinne strony i jak to zawsze w takich wypadkach bywa, dopiero teraz, po skończonej kampanii, dowiadujemy się o wszelkich odgrywających w niej rolę czynnikach. *Schlesiche Zeitung*, sama przyznaje z całą otwartością, co było powodem tak licznego przesiedlania się nauczycieli niemieckich do prowincyj wschodnich. Oto rząd dał im w drodze poufnej do zrozumienia, że dopłaci każdemu 300 marek rocznie do pensyi, ale po przesiedleniu się nie dopłacić nie chciał. Tak więc właściwie nie wiadomo, kto został wywiedziony w pole, a kto wywodził — to jednak jest faktem, że nauczyciele niemcy stąd uciekają i sama *Schl. Zeitg.* do tego zupełnie otwarcie ich wzywa.

Przy wyborach w okręgu sztumsko-kwidzyńskim ponieśliśmy fatalną klęskę. Landrat Wessel wybrany 6289 głosami, nasz kandydat Ossowski dostał ich tylko 5514, b. minister Hobrecht 173, socyalista 177. Podczas wyborów w roku zeszłym, otrzymał kandydat polski 8177 głosów, a niemiec 8795, gdyby tedy każdy był znalazł się na stanowisku obecnie, nie posłowałby stąd niemiec. Tak samo klęska w okręgu susko-grudziądzkim, tylko jeszcze haniebniejsza. Konserwatysta landrat Conrad wybrany 227 głosami, wolnomyślny kandydat Schnackenburg dostał ich 126, a Rybiński z Dybicc 9 głosów!!

Wiecujemy jeszcze ciągle, tylko przenieśliśmy punkt ciężkości po za Poznańskie. Wiece odbywają się obecnie na obczyźnie. jeden odbył się w Bottropie w Westfalii: a drugi w Gelsenkirchen. Przeważnie wzięli w nich udział robotnicy, i chyba nie potrzebuję dodawać, głównie chodziło o sprawę katolicyzmu, a przytem uchwalono uznanie dla *Wiarusa*, gazety wychodzącej w Bochum, która bardzo uczciwie zajmuje się ludem słowiańskim, będącym między niemcami.

Mimo to jednak, że jesteśmy tak dobrymi słowianami, zabierają nam niemcy ziemię z pod nosa. Herzberg kupił wieś rycerską Jabłkowo, własność rodziny Jackowskich za 566,800 marek, a komisya kolonizacyjna nabyła od Gustawa Żychlińskiego Wydzierzewice w powiecie średzkim. Jabłkowo kupiono na licytacyi, ale Wydzierzewice sprzedano już chyba tylko dla zrobienia dobrego interesu.

Dla żydów mam niedobrą nowinę. Prezes rejencyi wrocławskiej ogłosił w urzędowych tygodnikach powiatowych zakaz wpuszczania do Prus robotników wyznania mojżeszowego z Rosyi, ponieważ oni nie przybywają dla pracy na roli lub w przemyśle.

t. z.

PAMIĘTNIK.

Wyścigi konne.

„Karnawał letni“ rozpoczął już swoje uciechy wyścigami. Konie (t. zw. „nadzieje nasze“) przybyły licznie, „sportsmeni“ (między którymi jest znaczny zastęp subjektów felczerskich, kantorowiczów, dyetaryuszów różnych biur itp.) spieszą na „meeting“ skwapliwie, totalizator podnieca namiętności owych „gentlemanów,“ frazesy angielskie, przepisywane z Olendorfa, powtarzają się z sakramentalną wiernością w *Kuryerach*, słowem wszystko jest jak dawniej, tylko nie ma p. Czapelskiego, właściwego twórcy stylu „turfowego.“ Wprawdzie pozostawił on szkołę i uczniów, którzy go naśladują, ale żaden nie umie tak opowiadać o punktualności, gumie, antenatach końskich itd. Nie jeden w znajomości rzeczy prześcignął mistrza, nikt wszakże nie dorównał mu w odtwarzaniu „ponurych dudnień“ i innych efektów pola Mokotowskiego. Nawet świąteczny nastrój bez tego kamertonu mąci się tonami zbyt pospolitymi. Ktoś np. postawił w *Kuryerze warszawskim* niestosowne pytanie: „jakie są aktywa w bilansie 50-lecia instytucyi wyścigów konnych?“ — i usłyszał „zewsząd chochlikowy śmiech ironii.“ Czy jednakże śmiech ten nie opryskał pytającego za naiwność? Bo jakież mogą być aktywa (naturalnie społeczno-ekonomiczne) w wyścigach konnych? Stanowią one albo zabawkę wielkich panów, albo przedsiębiorstwo hodowców. Pierwsi nic nie mają przeciw temu, że pospólstwo płaci za prawo gapienia się na popisy czworonożnych bohaterów, ale ze słusznem zdziwieniem słyszy o wtrącaniu się tego pospólstwa w ich rozrywki. Drudzy muszą robić dobre interesy i mieć w nich „aktywa,“ kiedy utrzymują konie rasowe i wożą je po rozmaitych torach. A zresztą jeżeli nawet który z nich traci, jaką dziurką nos społeczny może wetknąć się do ich kieszeni? Wogóle jeżeli wyścigi uznamy za wielkopański zbytek lub gszeft widowiskowy — a za nic innego uznać ich niepodobna — dajmy pokój przenoszeniu ich na grunt ogólny społeczny. Dojdziemy bowiem niedługo do tego, że zaczniemy pytać, jakie są „aktywa“ w spijaniu i sprzedawaniu szampana. Krytyk z *Kuryera* wspomniał jednocześnie o zaniechanych wystawach inwentarza. Ależ one z wyścigami mają taki związek, jak dobroczynność ze strojami pań, które na nią kwestują lub tańcują. *O.*

Jeszcze o „łagodnym masażu.“

Że p. Prus nosi pełne kieszenie swoich trzygroszniaków i wtrąca je wszędzie, gdzie potrzeba i niepotrzeba — nic przeciw temu nie mamy, bo jest to przywilej każdego fejletonisty. Ale że p. Prus chce tym swoim przywilejem odebrać innym prawo wyrażania sądu o rzeczach publicznych — to jest jednym z najzabawniejszych objawów jego mimowolnego humoru, zwłaszcza że wiedza nie zawsze mu pozwala z tą samą znajomością mówić o przedmiotach naukowych, co o wytworach i wydawnictwach p. Ćwierciakiewiczowej. *Prawda* zwróciła się przeciw p. Ochorowiczowi od chwili, jak on opuściwszy pole nauki rzetelnej rzucił się w magnetyczno-hypnotyczne znachorstwo, zaczął poniewierać wiedzą medyczną i w mętnej wodzie łowić sobie pacyentów. W jednym też z poprzednich numerów zaznaczyłem jego ostatnie przedzierzgnięcie się w „łagodnego masażystę.“ P. Prus, broniąc przyjaciela, pisze w *Kuryerze codziennym*: „Pomijam (tak?) kwestyę: co i w jaki sposób leczy p. Ochorowicz. Zachodzi jednak pytanie: czy godzi się *szczuć* na jakąś metodę leczenia, którą proponuje człowiek, będący: kandydatem nauk przyrodniczych, doktorem filozofii, wynalazcą kilku przyrządów fizycznych — i autorem dzieła z dziedziny psycho-fizyologii, o którem z powagą odzywają się lekarze i uczeni francuscy?“ Przedewszystkiem gdyby p. Prus nie był „pominął kwestyi, co i w jaki sposób leczy p. O.,“ a zwłaszcza gdyby ją krytycznie i umiejętnie rozebrał, nie byłby postawił swojego humorystycznego pytania. Powtóre, doktorat filozofii i wynalezienie kilku przyrządów fizycznych — to jeszcze nie tytuły, poręczające wartość jakiejś metody *leczniczej* i sumienność jej stosowania. Potrzecie, łaskawe wzmianki paru uczonych francuskich, którzy nadto nie znają praktyki tutejszej p. Ochorowicza, nie są żadnym dla niej dyplomem. Poczwarte wreszcie, jeśli występowanie przeciw temu, co uważamy za złe, nazywa się „niegodziwem szczuciem,“ to chyba p. Prus po za pisaniem powieści nic innego w swych kronikach nie robi. Nawiasowo dodamy, że nie skutkiem naszego „szczucia,“ lecz skutkiem urzędowego zaprzeczenia wiadomości, podanej przez kilka pism, p. O. w dalszym ciągu nie posiada prawa przyjmowania chorych, czyli nie jest „łagodnym masażystą.“ Nie przepraszamy go za tę chwilową godność, gdyż nie my go w nią ubraliśmy. *W.*

Klucz z dwoma końcami.

Bohatersko wytrwał na stanowisku rycerza p. Judic sprawozdawca *Kuryera codziennego*, pomimo że nosił jej barwy osamotniony. Wszyscy inni powiedzieli kapłance misteryj (offen-) bachicznych tyle niegrzeczności, że niech podziękuje niebu za swą nieznajomość naszego języka. Gorzkie te jednak słowa zaprawione były tu i owdzie śmiesznością. Tak np. *Wiek* powiada: „Rozumiemy dobrze ożywioną frekwencyę (uczęszczanie) bywalców teatralnych wobec przyjazdu Meiningeńczyków, Rossiego *lub Sary Bernardt*, bo z nimi idzie sztuka wysokiego charakteru, którą wieścić i popierać warto; ale kiedy heroldowie prasy otrębują nadciąganie Judic *et consortes*, kiedy reklama przygotowuje dla niej złote żniwo, a usłużny ołówek wdraża jej oblicze w pamięć bałamuconych ciekawców — da się to tylko zrozumieć przy pomocy jednego, jedynego klucza zagadki: pani Judic jest żydówką!“

Ten antisemicki kluczyk może by się przydał na coś, gdyby 1) nie zawodził przy objaśnieniu „rozumienia frekwencyi bywalców teatralnych“ na przedstawieniach Sary Bernardt, która była również żydówką i 2) gdyby nie otwierał przeciwnym końcem innej zagadki — złorzeczeń przeciw Judic. Bo przecież z równą słusznością rzec można, że dlatego — przynajmniej niektórzy—wygwizdali ją, iż jest żydówką (o czem my — wyznajmy — nie wiedzieliśmy, gdyż nas ludzie z tej strony nie zajmują). Czemu nie odsłonić całej duszy, jeśli jest piękna? *P.*

Dwie odpowiedzi.

W *Gazecie warszawskiej* znaleźliśmy odpowiedź redakcyi tak pouczającą, że ją

przytoczyć warto: „Księdzu Sypniewskiemu w Pyzdrach: Redakcya *Gazety warszawskiej* nie narzuca nikomu swego pisma i do prenumerowania nie zmusza. Zdziwieni więc byliśmy, otrzymawszy od księdza dobr. list treści następującej: „Od nowego roku 1891 z polecenia władzy (naturalnie duchownej) prenumeruję *Słowo*. Kto zaś pod moim adresem zaprenumerował *Gazetę warszawską*, dotąd mi nie wiadomo." Ta ostatnia tłomaczy się, że przedpłatę otrzymała za pośrednictwem księgarni Gebethnera. Z tej publicznej korespondencyi widzimy jasno, że zwierzchność duchowna „poleca" księżom prenumerować *Słowo*. Niewątpliwie jest to bardzo prosty i skuteczny sposób zyskiwania sobie abonentów; dziwi nas tylko, że *Słowo* drukuje powieści Sienkiewicza, artykuły Keniga i wogóle ponosi jakiekolwiek trudy i koszty dla zapełnienia swych szpalt. Bo przecież mogłoby przedrukowywać rubrycele i zbiorniki kazań z równem powodzeniem. Takie „polecenie," taki „kategoryczny imperativ" lepiej ubezpiecza i skutkuje, niż najświetniejsza powieść i najszumniejsze prospekty. Ale to do nas nie należy. My tylko powinniśmy odtąd wiedzieć, jak należy rozumieć, gdy znowu usłyszymy słowa redakcyi: dzięki naszym usilnym *staraniom*, liczba abonentów ciągle wzrasta itd.

Drugą znamienną odpowiedź zamieszcza *Kronika lekarska*, karcąc *Wiadomości farmaceutyczne* za to, że one śmiały szydzić z lekarza, który błędnie zapisał receptę. „My — powiada ona— czyniąc uwagę owym lekarzom — możliwym naszym czytelnikom — zrobiliśmy, jak to mówią, w oczy, jak koledzy kolegom; ale wyśmiewanie się z lekarza za źle napisaną receptę w piśmie przeznaczonem wyłącznie dla farmaceutów i przez lekarzy nieczytywanem, może mieć tylko charakter złośliwej szykany. Redakcya *Wiad. Farm.* najwyraźniej zapomniała o starem, ale dobrem przysłowiu: *nec sutor ultra crepidam*" (pilnuj szewcze kopyta). Przypominamy sobie z lat uniwersyteckich wzgardliwe traktowanie „farmaków" przez medyków, ale nie sądziliśmy, ażeby ta usprawiedliwiona młodzieńczą pychą impozycya przechowywała się aż do tego wieku, w którym się redaguje pisma lekarskie. Rozebrawszy ją krytycznie, otrzymujemy tylko te pierwiastki, które składać zwykły wielką niedojrzałość. Bo dlaczegoż to farmaceuci mają z kornemi minami stać wobec lekarzów i nie poważyć się na wytknięcie im błędów w receptach? Dlaczego to o takich błędach tylko koledzy mają prawo mówić „w oczy" kolegom? Jakąż to poufność koleżeńską ubezpiecza dostępne wszystkim pismo publiczne? Odkądże to receptowanie należy do szewckiego kopyta farmaceutów? Aptekarstwo tak samo miało i ma rzemieślników i znakomitych uczonych, jak medycyna, oba zawody są polami uczciwej pracy i wiedzy, nie istnieje więc żadna racya do poniewierki jednego przez drugi. Między uczniami Eskulapa wybrać by można tysiące, których by przeważył jeden „sutor" Liebreich, gdzież więc oni mają zasadę do wzgardy dla całego stanu? *K.*

Jubileusz.

Zamierzono uczcić jubileusz pracy adwokackiej p. Spasowicza i na ten cel utworzył się osobny komitet, do którego wchodzi również znany p. Piltz. Udział tego ostatniego jest najzupełniej uzasadniony, gdyż dzisiaj tak trudno wyobrazić sobie p. Spasowicza bez p. Piltza, jak *i* bez kropki, a nadto jeśli kto, to niewątpliwie redaktor *Kraju* ma powody do uwieńczenia wdzięcznem sercem znakomitego obrońcy. Co do nas, nie zaprzeczając jubilatowi adwokackiego talentu, wiedzy i pewnych zasług w literaturze, wyznajemy, że nie możemy zdobyć się na zapał dla tej Janusowej, a może nawet Światowidowej postaci. Niech go czci, kto w paśmie jego działalności uchwycił jakąś nić, dającą się związać z uczuciami sympatycznemi. *P.*

Echo.

Czytelnicy nasi zapewne pamiętają, że po śmierci ordynata Zamojskiego dzięki opiekunowi jego małoletniego syna zniesiono t. z. „gracye," tj. emerytury i zapomogi, płacono wysłużonym oficyalistom i ich rodzinom. Nie pomogły ani prośby biedaków, ani uwagi prasy — edykt został utrzymany. Ratując się od nędzy, jeden z dotkniętych „oszczędnością," Julian Babiński, który po 30 latach służby pobierał 175 rs. rocznie, a skutkiem wspomnianego rozporządzenia „gracyę" tę utracił, odwołał się ze skargą do sądu. Sędzia pokoju 8 rewiru m. Warszawy, rozpoznawszy jego pretensye, skazał Zdzisława, Konstantego, Augusta i Różę Zamoyskich na zapłacenie powodowi 257 rs. 8 kop. i kosztów sądowych.

Niebywała dzielność.

Wiadomy jest czytelnikom *Prawdy* los sławnej spółki owocowej, niefortunnie kleconej przez naszych kapitalistów. Brak zasobów skazał ją na śmierć. Chwilowo znużony duch przedsiębiorczości objawił znowu zamiar wylania się w doskonalszej formie. Tak wytwórcy owoców, jak i handlujący nimi zakładają nową spółkę na odmiennych zasadach. Zawiązuje się ona z kapitałem nie mniejszym, niż 30,000 rs. ze 120 udziałami po 250 rs. każdy. Celem spółki jest prowadzenie hurtownego handlu owocami na rynkach: Warszawy, Kijowa, Moskwy i Petersburga. Nadto w tych miastach otworzy ona sklepy ze sprzedażą cząstkową, sposobem próby oraz sezonową, bez składów zimowych, któreby mogły narazić przedsiębiorstwo na ryzyko. Inicyatorami są pp.: Wacław Umiński i Kazimierz Cieszewicz. Zarządem jej zajmą się firmowi spólnicy w liczbie 5. Podobno zamiar ów zyskał już kilkanaście osób i na odbytych czterech naradach ułożono szkic umowy. Upór, z jakim przedstawiciele produkcyi owocowej przedzierają się poprzez bezwładność własną do rynków, jest niewątpliwym dowodem, że dobrze rozumieją pożyteczność zespolenia wysiłków. Dążeniem do niego zdradzają niebywałą dzielność. Jeżeli jednak energii swojej nie wyczerpią w drugiej i trzeciej czwórce narad lecz, zorganizowawszy się, więcej wykażą sforności, a safandulstwo szlacheckie zastąpią sprężystością mieszczańską — dopiero wtedy osięgną cel wytknięty. *P.*

Nasz szeląg.

Ostatnim, wystawionym obecnie na łup tegoczesnej cywilizacyi lądem na kuli ziemskiej — jest Afryka. Ścieżkę do niej deptali: Livingstony, Stanleye, Wissmany, Emin i kardynał Lavigerie na czele „braciszków zbrojnych." Wszyscy oni, mniej lub więcej świadomie, nieśli lub niosą przed sobą pochodnię wiedzy, rozświecającej drogę, którą wślad postępuje fala nowej kultury; wszystkich pchały lub pchają westchnienia czy wprost materyalny bodziec jedynego rozporządziciela dzisiejszej produkcyi — kapitału. Wszyscy w imię nauki badali kierunek i źródła rzek, odkrywali nowe jeziora i mierzyli je, docierali do nowych krain i opisywali ich bogactwa. Dużo z tego korzysta wiedza, więcej jeszcze — geografia handlowa. Istotną osią tych badań naukowych jest odkrywanie nowych rynków dla cywilizowanych ludów Europy, trapionych nadprodukcyą i widmem przewlekłych zastojów. Szlakiem utartym przez swoich geografów tłoczą się więc na wyścigi do Afryki, dzielą ją i wydzierają sobie wzajem jej szmaty. Nic może głębiej nie wżarło się w świadomość mieszczaństwa europejskiego, jak ten ląd świeżo zbadany, żadne może uczucie mocniej nie wstrząsa teraz sercem anglika, włocha, portugalczyka, francuza i niemca, jak nadzieja złupienia czarnych tubylców z kości słoniowej, złota i zdrowia... Wyraz „Afryka" nie schodzi z języka kupców i przemysłowców; ministrowie i członkowie parlamentów zasypiają i budzą się z nim na ustach, rymując go pieszczotliwie z marzeniami swoich wyborców. Stosunek uczuć i myśli tych ludzi do Afryki wszedł już w fazę, gdy główny bodziec ich wysiłków — rynek, zaczyna się spowijać w złudną mgłę nieuchwytnych wzruszeń i „idej." W parze z prądem towarowym w kierunku Afryki idzie już prąd estetyczny i wspiera go. Gorączka złota afrykańskiego owładnęła nawet mężów stanu. Przykładem w tym względzie świeci lord Randolf Churchill, który podjął się awanturniczej wycieczki do południowej Afryki po „złote runo." Koszt wyprawy poniesie syndykat przedsiębiorstwa pod firmą lorda Brassega. Mąż stanu otrzymał nadto wysokie honoraryum dwóch dzienników za sprawozdania, nadsyłane z tamtąd. Jeżeli wyprawa przyniesie zyski, trzecia ich część dostanie się Churchillowi, niezależnie od tych setek tysięcy funtów, które mu obiecano za odkrycie miejsc złotodajnych. Dla podniesienia dochodów lorda dziennikarze z wyprawy są wyłączeni. Zyskowny monopol podsycania żarłoczności kupców należy mężowi stanu. Po ścisłych naukowych sprawozdaniach badaczów, przychodzi kolej na opisy awanturniczych przygód poszukiwaczów kości słoniowej, zbliża się czas przygrywek beletrystycznych, umilających prozaiczny pochód towarów drogą, wskazaną przez Stanleyów. Wstępujemy w okres idealizacyi — kultu Afryki.

Jak dalece pod wpływem pokrewnych warunków ujednostajnić się może świadomość ludzka, najlepszym dowodem jest nasz udział w tym kulcie. Nie stykamy się wprawdzie z morzem i nie potrzebujemy układać budżetów na politykę kolonizacyjną, nie zawiązujemy towarzystw południowo lub środkowo-afrykańskich, ale mamy odpowiednie instytuty i to samo, co nasi sąsiedzi zachodni praktykują na olbrzymią skalę, robimy w miniaturze. Oni dla nowego bożyszcza mają ogromne świątynie, my zadawalamy się — kapliczką. Nie zrodziliśmy ani jednego Stanleya lub Emina Baszy i Churchilla, ale wysłaliśmy do Afryki: pp. Rogozińskiego, Hajotę i Sienkiewicza. Wysiłki ich, powiedzmy to sobie szczerze, dla kraju — są zmarnowane. Smak faktoryj kupieckich znany p. R. z osobistego doświadczenia, jeśli o nich zechce opowiadać, zrozumie lepiej od nas włoch, hiszpan, francuz i niemiec; nowele afrykańskie jego towarzyszki dozgonnej (Hajoty), tak samo, jak i powieść afrykańska, którą snuje p. Sienkiewicz, dla czytelnika polskiego będą „flirtem" afrykańskim — lizaniem cukru przez szybę — i dopiero przebrane w szaty mowy hiszpana, włocha, francuza będą dla nich artystycznym środkiem, ćwiczącym ich dobrze rozwinięty „zmysł afrykański." Tylko tam, w salonach akcyonaryuszów towarzystw wywozowych, znajdą silniejszy oddźwięk. To też autor *Bez dogmatu* dał dowód wielkiej przezorności, zgadzając się na jednoczesne wydanie przyszłego utworu w dwóch językach: polskim i francuskim... Również i pp. R. trafną wybrali sobie marszrutę w powrocie z Afryki przez Hiszpanię, Francyę i Włochy. Tam tylko, w atmosferze gotujących się najazdów na ziemie murzynów, może być zrozumiały zapał, z jakim ich przyjmowano i hojność w rozdawaniu im dyplomów zaszczytnych. Był to polski szeląg, złożony na obcym ołtarzu, w chwili uroczystej procesyi, odprawianej przez świat kupiecko-przemysłowy... *Z. A.*

ZDALA.

Zamiar pohamowania wędrówek najemniczych. — Jego właściwa dążność.—Echa „dobrych dawnych czasów.“— Szczególny objaw odrębności finlandzkiej. — Bankructwo.

Peryodycznie powtarzające się w porze letnich robót polowych przepełnienie rynków pracy w pewnych punktach Rosyi południowej stało się złem, na które, jeśli można wierzyć pogłoskom dziennikarskim w ministeryum spraw wewnętrznych jest przygotowywany środek, mający pohamować je. Będzie to t. zw. uporządkowanie wędrownego najemnictwa (*otchożyje promysły*). Jak wiadomo, wpływa ono z nieustannie postępującego ubożenia włościaństwa ruskiego. Nieprodukcyjność pracy, wkładanej w niewdzięczną glebę szczupłej ojcowizny i podatki — zmuszają chłopa uciekać się do dalekich, tłumnych i na oślep przedsiębranych wędrówek za pracą. Powoduje to częstokroć (jak np. zeszłego lata na obszarach Nowej Rosyi), takie nagromadzenie rąk roboczych i tak mały względnie popyt na nie, że tym nieszczęsnym przybyszom widmo głodu zaglądało w oczy; zamiast z zarobku, żyć musieli — z jałmużny. To nieprawidłowe rozmieszczenie sił roboczych natarczywie upomina się o szczególne instytucye kierownicze, np. o giełdę pracy. Przejrzyjmy się w istocie środków, którymi to zło zamierza ukrócić ministeryum. Ci, którzy wbrew woli rodziców lub starszych członków rodziny zechcą pójść na dalekie zarobki, ze strony gromady wiejskiej spotkają odmowę. Osoby zaś, niemające powyższych przeszkód do prawa na wędrówkę zarobkową, winny uzyskać stosowną uchwałę gromady wiejskiej, jako podstawę do otrzymania paszportów. Nadto, taka uchwała za pośrednictwem zarządu gminnego przechodzić będzie decyzyą naczelnika ziemskiego. W wydanym przez wójta (starszynę) paszporcie winno być zamieszczone, że się go wydaje na mocy uchwały gromady, zatwierdzonej przez naczelnika ziemskiego. W paszporcie oznaczony ma być fach okaziciela. Zgromadzenia włościańskie w celu ułożenia listy robotników wędrownych winny się zbierać corocznie nie później, niż w połowie lutego. W razie gdy kandydaci na zarobek trudnią się tem samem rzemiosłem i wyruszają do pewnego określonego punktu, obowiązani są wybrać z pomiędzy siebie starostę artelowego, który na mocy ustawy z 24 czerwca 1886 zawiera umowy o roboty i kieruje gospodarstwem artelu. Na ziemstwa i ich naczelników wkłada się obowiązek komunikowania zarządom gminnym informacyj o punktach najbardziej zagrożonych brakiem rąk roboczych, udzielania wskazówek starostom artelowym i wogóle przedsiębrania wszelkich środków, usiłujących rozwiązać kwestyę robotniczą.

Ruskija Wiedomosti widzą w tym sposobie uprawidłowienia najemnictwa wędrownego jedną tylko dodatnią stronę, że położony będzie kres samowoli głowy rodziny i wójtów, od których zależy obecnie wydawanie świadectw, rozstrzygających o uzyskaniu paszportów na wydalenie się. „Można się spodziewać — powiada — że nadzór naczelników ziemskich nad wędrownem zarobkowaniem znajdzie się pod kierunkiem wpływów nie wiele mających wspólnego z potrzebami, które właśnie takie „obieżyświactwo“ zaspakaja. Wiadomo np., że w wielu miejscowościach Rosyi, szczególnie zaś w czarnoziemnych guberniach pasu środkowego posiadacze ziemscy są mocno zainteresowani w zatrzymywaniu jaknajwiększej liczby robotników.“ Możliwem więc jest, że ci, którzy mieć będą w swej pieczy sezonową emigracyę siły roboczej, zatrzymać ją mogą łatwo tam, gdzie pożądaną ona jest w nadmiarze, lecz skąd tem samem ucieka, ogołocić zaś z niej miejscowości (np. gubernie stepowe), do których ona zwabiona popytem dąży. Zresztą szczegółowe sprawdzanie, czemu gromada jednemu pozwala odejść na zarobek, innemu odmawia, w znacznej większości wypadków może stać się zadaniem, przechodzącem siły naczelnika ziemskiego. „Wszelkie dowolne krępowania ubocznych zarobków nietylko stworzą sztuczne przywileje dla jednych miejscowości ze szkodą innych, ale z istoty rzeczy dotkną prawa swobodnej zmiany miejsca, co od czasu zniesienia zależności pańszczyźnianej stało się istotną cechą wolnego stanu włościańskiego (*Rus. Wied.*).“

Jeżeli wszakże, pomimo tak jawnie ujemnej strony zalecanych wyżej środków rozwiązania sprawy najemniczej na wsi, wejdą one w czyn, istotą swoją zharmonizują się z życzeniami pewnego odłamu prasy ruskiej, która od początku ósmego dziesiątka lat stale jest wierna wzorom nieodwołalnie pogrzebanej przeszłości.

Najzgodniejszym z nastrojem chwili jest niewątpliwie głos korespondenta gazety *Mosk. Wiedomosti*: „Najbardziej przekonywającym i poprawczym środkiem dla naszych włościan, szczególnie zaś dla młodzieży—jest sprawiedliwa surowość, a w razie konieczności — kara cielesna. Chociaż, niestety, nowe sądy gminne (*wołostnyje*), prowadzą u nas (w gub. riazańskiej) sprawy nierównie sprawiedliwiej i lepiej niż dawne z opojów złożone, jednakże w jednej mierze one i naczelnicy ziemstw ciągle jeszcze bawią się w humanitarność względem włościan. Dawne pokojowe instytucye wraz z opilczymi sądami gminnymi, które nie znały kontroli, przez dwadzieścia lat unosiły się ludzkością i doprowadziły ludność wiejską prawie do stanu bez wyjścia. Włościanie, w szczególności zaś młodzież wiejska, jęli lekceważyć najświętsze obowiązki, zatracili szacunek ku starszym, nie poważają rodziców, nie chodzą prawie do świątyń.. Za czasów pańszczyzny lub chociażby „pośredników pokojowych (mirowych)“ o niczem podobnem nie słyszano; wszędzie panował ład, szacunek i poważanie dla starszych, religia zaś stała na pierwszym planie i ponad wszystko. Czemuż to przypisać? Surowości, która obecnie również jest niezbędna. Zresztą sam lud nawet z niecierpliwością jej pożąda, z radością oczekiwał nowego prawa i naczelników ziemskich w których spodziewał się znaleźć obronę i sprawiedliwą a surową karę. Tymczasem zaś i teraz ci naczelnicy i sądy gminne w większości razów skazują łotrów na grzywnę lub karę. Ten środek chybia celu. Co z tego, że ktoś podlegnie grzywnie, której niepodobna ściągnąć — bo skąd? Zwykle kończy się aresztem z zaliczeniem dwóch rubli za dobę. Alboż to kara dla chłopa? To go rozpuszcza jeszcze więcej. Sami włościanie powiadają: „Co to jest? Za karę posłali tego ci tam spać i płacą mu za to jeszcze dwa ruble na dobę! Toć my, cośmy w niczem nie zawinili, z ochotą odsiedzielibyśmy karę za 50 k. Nie bój się, gdyby takiemu wsypać 25 — 50 gorących, a w razie potrzeby powtórzyć, byłoby i pięknie, niekosztownie i przykładnie.“

Słuszną robi uwagę *Wiestnik Jewropy*, że tak myśleli i wyrażali się ziemianie, burmistrze i starostowie „dobrych dawnych czasów.“ Jeśli do westchnień ich potomków dołącza się czasem życzenie kmiece, nie należy się łudzić: jest to sojusz tylko chłopa-kułaka z ziemiaństwem dla osiągnięcia wspólnego celu — wdrożenia najemnikowi poczucia najświętszych obowiązków względem najemcy.

Spojrzmy, jak stosunek tego ostatniego do pierwszego reguluje obecnie u siebie Finlandya. Godnem zwłaszcza jest przytoczenia to, co mówi prof. Janżuł w piśmie *Ruskija Wiedomosti*. „Oto są najciekawsze zestawienia poczynione przez niego: Między przepisami prawa finlandzkiego z 27 kwietnia 1889 (dopełnionego w tymże roku), a prawem ruskiem, zwłaszcza w postaci nadanej mu w r. 1890, zachodzą pewne różnice — mocno je wszakże wyodrębniające od siebie. Ostatnie prawo pozwala wyrostków od 12—15 lat zatrudniać 9 godzin, pierwsze ogranicza czas roboczy dla nich do godzin 7 lub nawet skutkiem pauzy półgodzinnej na wypoczynek—do 6½. Tamto określa wiek, po za który dozór nie sięga, do lat 15, wyrostkom zaś od lat 15—18 wzbrania nocnej pracy tylko w niektórych gałęziach produkcyi; to — zakazowi pracy nocnej dla rzeczonego rodzaju robotników użycza cechy bezwarunkowości i najwyższy czas roboczy dzienny oznacza dla nich nie więcej niż do g. 14 łącznie z obowiązkowem wytchnieniem dwugodzinnem. Odpowiedzialność za wykroczenie przeciw prawu o pracy małoletnich po tej stronie zatoki Fińskiej spada tylko na fabrykantów, po tamtej stronie zatoki podlegają jej także i rodzice. Zdrowotne i ochronne środki, dotyczące zarówno wszystkich robotników w Finlandyi, określone są ściślej i dokładniej, władza inspekcyi fabrycznej jest szersza i istotniejsza. Inspektorowie obowiązani są tam badać ekonomiczny i moralny stan robotników i dopomagać jego podźwignięciu, nie tylko wdają się w spory i nieporozumienia wynikające pomiędzy robotnikami a przedsiębiercami, lecz baczą na to, czy istnieją w danem miejscu kasy robotnicze, jeżeli zaś ich brak, troszczą się o ich założenie. Nadto, rząd finlandzki zajęty jest obecnie opracowywaniem projektu kasy państwowej dla robotników, na wzór Niemiec. Tymczasem zaś, wbrew zwyczajom panującym po tej stronie zatoki, większa część fabrykantów finlandzkich ubezpiecza swoich robotników od nieszczęśliwych wypadków, sami zaś robotnicy o własnych siłach lub z pomocą pracodawców mnożą u siebie instytucye patronalne i sklepy spożywcze. Przy sposobności prawo fabryczne w Finlandyi rozpatrzymy szczegółowiej. Teraz rzućmy okiem na stan samopomocy śród żywiołów drobnej produkcyi w Rosyi.

Czternaste sprawozdanie komitetu petersburskiego od szczepienia kooperacyi w sferze włościaństwa daje smutny obraz postępów tej zasady w rzeczonej warstwie społecznej. W ciągu 16 lat swego istnienia komitet zdołał powołać do życia w 64 guberniach aż około 1000 kas zaliczkowo-wkładowych. Jakkolwiek obrót roczny wynosi 77,000,000 rs., ale skromność obu tych cyfr występuje na jaw dopiero wtedy, gdy je zestawimy z liczbą 200,000 członków kas, tę zaś z ogólną ludnością 64 gubernij— z 90,000,000. Według sprawozdania z dobrodziejstw kredytu spółdzielczego korzystać ma 10,000,000 ludzi, cyfra ta jednak procentowo dla osób istotny mających dostęp do tego „uzdrowiska“ wyniesie mizerną 1,7% całej ludności. Zresztą — cóż znaczy 77 milionów obrotu rocznego kas wobec 200 milionów samych odsetek, opłaconych przez włościaństwo od wszelkiego rodzaju pożyczek? Te dane stwierdzając z jednej strony fakt istnienia dość obszernego pola, na którem bujnie porasta lichwa, z drugiej dowodzą jeśli nie upadku kas zaliczkowo-wkładowych, to ich niezmiernie powolnego rozwoju. Sprawozdawca wszakże konstatuje raczej ich upadek, który się zaczął od r. 1883. Ilość członków i samych spółek (kas) zmniejsza się nieustannie. Przyczyny tego niepowodzenia są następujące: trudność zostania członkiem kasy, ponieważ trzeba wnieść pewny udział pieniężny, nieodpowiedniość osób stojących na czele zarządu — do tego ostatniego dostawali się często „kułaki“ i „szynkarze,“ którzy przy ogniu samopomocy piekli własną pieczeń. Korzystali z kredytu dla ułatwienia sobie praktyk lichwiarskich: wziąwszy pieniądze z kasy, potem je wypożyczali swoim współwioskowcom za grube odsetki. Prócz tego więc, że kasy, stając się narzędziem wyzy-

sku, chybiały celu, nosiły jeszcze w sobie zaród śmierci dla tego, że zostawione były samym chłopom, żywiołowi z natury swojej mało samodzielnemu. Pogrzebowo brzmi wyrok jednego z południowych ziemstw o działalności stowarzyszeń spółdzielczych: „Spółki wcale nie zaszczepiły się w życiu ludności wiejskiej. Nie wywarły żadnego wpływu na gospodarcze obroty rolników: kapitały pożyczone od ziemstw dla pierwotnych obrotów, są wyszafowane, lecz zwracają się niepunktualnie, pożyczki muszą być prolongowane z roku na rok. Wynika stąd to, że pieniądze pozostają w tych samych rękach, nie mogą być pomocą dla innych.“ *Mosk. Wiedomosti* upatrują przyczynę tego niedomagania spółdzielczości w braku kierowników inteligentnych. Najniewątpliwiej ta rola przypadnie niebawem w udziale naczelnikom ziemstw.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Teatr. Ażeby niewiele lub też nic nie pozostać dłużną repertuarowi obcemu, reżyserya dramatyczna wydobyła z kurzu bibliotecznego przed 30 przeszło laty napisaną sztukę Aleksandra Dumasa (syna) „Ojciec marnotrawny“ i przekładem dokonanym podobno przed 19 laty uraczyła publiczność w bieżącym tygodniu. Niepojęte jest dla nas to przywiązanie do sztuki przestarzałej, którejby teraz sam autor, ani tłomacz niezawodnie nie puścili na scenę. Tyle już wystawiono u nas utworów Dumasa lepszych i lepiej skrojonych, że reżyserya mogła bez obawy zapozwu przez krytykę lub publiczność, pozostać choć o ten jeden dług spokojną. Lekceważenie literatury swojskiej pociąga też za sobą i lekceważenie ról przez artystów grających w sztuce obcej, która posiada pewną myśl głębszą, lecz jest przewlekła nad miarę. P. Leszczyński np. w roli tytułowej kaleczy do tego stopnia język polski, że na pierwszej scenie naszej słuchać musimy z osłupieniem jakiejś gwary prowincyonalnej, czy wielkomiejskiego żargonu.

Sprawy społeczne. Sprawozdanie z działalności kas oszczędności po miastach za ostatnie dziesięciolecie wykazuje stopniowy ich rozwój pod względem liczebnym i wysokości wkładów.

— W gub. południowo-zachodnich żydzi, mający zamiar emigrować do Ameryki południowej, a szczególnie do Argentyny, postanowili utworzyć stowarzyszenie, któreby się zajęły sprawą wychodztwa. Kilku kapitalistów żydowskich wyraziło gotowość złożenia na ten cel znacznych funduszów.

— Filantrop angielski, Olifant, przybył do Tyflisu, następnie uda się do Konstantynopola dla wyjednania od rządu tureckiego koncesyi na urządzenie kolonij żydowskich w Palestynie (*Now. Wr.*).

— Według wiadomości urzędowych, w ostatnich czasach włościanie w gub. nadbałtyckich zawiązali bardzo wiele układów o wykup swych gruntów w dobrach prywatnych.

— Na kolei Finlandzkiej powstaje stowarzyszenie spożywcze na wielką skalę, którego uczestnikami będą urzędnicy kolejowi. Wszystkie materyały spożywcze Towarzystwo będzie nabywać hurtownie z pierwszej ręki po cenie niższej niż w magazynach, a następnie po cenie kosztu sprzedawać będzie członkom.

— W Warszawie przy ul. Szpitalnej otwarto księgarnię tanich wydawnictw.

— W Opocznie powstaje akcyjny sklep spożywczy.

— Do kas groszowych w Warszawskiem Tow. Dobroczynności od czasu ich założenia (r. 1861) wniesiono 827,553 rs.

— W Petersburgu powstaje artel stróżów; wymaga on od wstępujących 300 rublowego udziału, będzie dawać poręką do wysokości 1,000 rs.

— W Petersburgu otwarto drukarnię dla kobiet.

— Opieka nad terminatorami u majstrów ma być poruczoną Towarzystwom dobroczynności.

— Reforma Banku włościańskiego nastąpi na zasadzie zniżenia procentów od pożyczek i wysokości rat amortyzacyjnych.

— Przy domu schronienia w Grójcu ma powstać oddział dla nieuleczalnych chorych umysłowo.

— Wydział krajowy w Galicyi postanowił urządzić trzy poprawcze kolonie rolnicze: 1) na 300 mężczyzn w Galicyi wschodniej, 2) na 200 w zachodniej, 3) na 150 chłopców nieletnich w Galicyi środkowej.

— W tych dniach ukończona będzie budowa teatru letniego we Lwowie.

Szkoły. Wyjaśniono iż szkoły techniczne mogą być tam tylko otwierane, gdzie istnieje komisya nadzoru wykształcenia technicznego. Zanim szkoła będzie otwarto, należy się postarać o utworzenie takiej komisyi.

— Na Kaukazie rozpoczęto badanie sprawy prawidłowej organizacyi różnych szkół fachowych.

— Sprawa utworzenia w Petersburgu specyalnego Instytutu lekarskiego dla kobiet została ostatecznie rozstrzygnięta. Kurs zakładu ma być 4-letni, prawo praktyki przyznawane będzie wychowańcom dopiero po ukończeniu 4-letnich zajęć w szpitalu (*Rusk. Wied.*).

— Dla nauczycieli i uczniów wszelkich szkół rolniczych udających się do obejrzenia gospodarstw wzorowych i na ekskursye naukowe, zarząd kolei rządowych ma zniżyć opłatę za przejazd do 1/3 ceny biletu, lecz tylko w wagonach III klasy.

— Komitet Towarzystwa pomocy dla studentów uniwersytetu petersburskiego rozesłał do profesorów i niektórych byłych studentów listę dłużników Towarzystwa, którzy ukończyli kursy między r. 1873 a 1882 i dotąd zaciągniętego długu nie spłacili. Osoby, które otrzymały listę, proszone są o wskazanie adresów zalegających dłużników. Ogół długów wynosi 163,123 rs.

— Komisyi specyalnej lekarzy i pedagogów, utworzonej przy ministeryum wychowania, polecono: wypracować instrukcyę dla lekarzy średnich zakładów naukowych; 2) ułożyć normalne warunki, którym powinny odpowiadać te zakłady pod względem hygieniczno-pedagogicznym, tj. urządzenia, utrzymania, wentylacyi, ogrzewania i oświetlania; 3) ułożyć projekt kursu hygieny szkolnej dla przyszłych pedagogów.

Sprawy kolejowe. Komitet ministrów wydał koncesyę Towarzystwu belgijskiemu na budowę kolei z Berdyczowa do Żytomierza. Jako gwarancyę, przedsiębiorcy złożyli 1,700,000 rubli. Towarzystwo ma prawo eksploatować linię w ciągu lat 80 ciu. Budowa ukończona będzie w r. 1892 kosztem 3½ mil., kapitał tworzy się za pomocą emisyi akcyi, poręczonych przez rząd.

— Wniesiono do Rady państwa projekt budowy kolei Kazańskiej.

Komunikacye. W tych dniach zbierze się w Petersburgu komisya badania dróg wodnych: Dniepr, Bug, Berezyna i Kanał Ogiński.

Bibliografia. W. Hugo, *Nędznicy*, zesz. 8—10.

— Desbaux, *Tajemnice wiedzy*, zesz. 8.

— I. Nussbaum, *Czary z życia przyrody*, zeszyt 1.

— M. Dobrzyński, *Dzieje Polski*, tomów dwa, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— K. Skrzyńska, *Kobieta w pieśni ludu*.

Kolonie letnie. Dziewięć lat mija od czasu jak dobroczynna Warszawa corocznie obfitych dostarcza środków dla wysyłania dzieci biednych a słabowitych na kilka letnich tygodni na wieś dla pokrzepienia ich na siłach i dla wytępienia z nich zarodków przyszłych chorób, któreby je uczyniły niezdolnemi do pracy lub życia pozbawiły. Instytucya kolonii letnich sympatycznie przez nasze społeczeństwo przyjęta i energicznie przez nią popierana doszła do niebywałego u nas rozwoju, gdyż cyfra 50 dzieci, które w pierwszym roku jej istnienia wysłano, urosła do 540, jak to szczegółowe, za rok zeszły sprawozdanie wykazuje. W przeciągu lat 9 przeszło 2,200 dzieci korzystało z dobrodziejstwa, jakie im społeczeństwo obfitą dłonią dostarczyło.

W sezonie bieżącym, a dziesiątym istnienia „Kolonii letnich“ mnóstwo, wiele więcej niż kiedykolwiek, dzieci zgłasza się z prośbą o wysłanie ich na wieś; nie wolno nam wątpić iż prośby ich w znacznej części uwzględnione będą i że publiczność nasza i w roku bieżącym pośpieszy z ofiarami, które nam pozwolą dalej prowadzić tę ze wszech miar na poparcie zasługującą Instytucyę.

Do panów właścicieli ziemskich zanosimy prośbę o zaofiarowanie nam na przeciąg 4-ch lub 8-u tygodni odpowiedniego dla pomieszczenia 30 osób miejsca. Warunkami pożądanemi są: Bliskość stacyi drogi żelaznej, bliskość lasu lub zacienionego sadu, [illegible] i mieszkania, oraz woda bieżąca na kąpiele.

Dr Gustaw Fritsche.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Мая 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.